Rok. X. Marzec 1929. Nr. 3

PRZEWODNIK SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY

KIEROWNICTWU STOWARZYSZEŃ POLSKICH

REDAKTOR: **Ks. Dr. E. KOZŁOWSKI.**

TREŚĆ:

Rozprawy.

Wykłady i odczyty.

Przegląd społeczny.

WYDAWCA: KATOLICKA SZKOŁA SPOŁECZNA W POZNANIU.

Prenumerata kwartalna 4,75 zł. — Cena zeszytu 1,75 zł.

C. M.

Kolping i jego stowarzyszenia czeladnicze.

(Dokończenie.)

III.

Już Kolping zajmował się czeladzią wędrowną. Opieka nad nią — jako praktyczne zastosowanie przykazania miłości bliźniego — należy do najpiękniejszych zadań stowarzyszenia. W dziedzinie tej obowiązuje pewien regulamin.

Członek aktywny, przynależąc od trzech miesięcy do organizacji, otrzymuje przy odejściu książeczkę wędrowną. Zawiera ona fotografję właściciela i numer, pieśń czeladzi katolickiej do św. Józefa, obrazek przedstawiający św. Józefa i Dzieciątko Jezus — z napisem: Błogosław, Boże, uczciwemu rzemiosłu!, dalej personalja: imię, nazwisko, zawód, wyznanie, miejsce i datę urodzenia, uwagę, kiedy członek został przyjęty do stowarzyszenia i przez którego prezesa, wreszcie pieczęć i podpis. Na kilku stronach podano krótką historję katolickiego stowarzyszenia czeladzi i program ideowy, rozprowadzony w punktach zasadniczych, następnie regulamin wędrowny oraz książeczkę złotych myśli i nauk X. Kolpinga, wreszcie spis wszystkich stowarzyszeń niemieckich i zagranicznych, pewne wyjaśnienia i rubryki celem zaznaczenia w nich ofiarowanych noclegów. Książeczkę wędrowną wydaje prezes, on wypisuje świadectwo. Skoro członek się żeni lub kończy 35 rok życia, wówczas traci prawo do opieki, przysługującej czeladzi wędrownej.

Prócz książeczki wędrownej czeladnik, szukający pracy, ma przy sobie zawsze legitymację. Jest to również drobna książeczka, wystawiona dla każdego członka, definitywnie przyjętego do stowarzyszenia czeladzi. Zawiera ona personalja, daty przyjęcia do organizacji lub przyjazdu, wystąpienia lub odjazdu, dalej poświadczenie, kiedy czeladnik chodził do Komunji św., w których miesiącach uczestniczył w zebraniach, wreszcie pokwitowanie zapłaconych składek miesięcznych (zapomocą znaczków). Legitymacja członkowska i książeczka wędrowna uprawniają do korzystania

z wszelkich udogodnień organizacji czeladzi katolickiej. Członkowi jakiegokolwiek stowarzyszenia na mocy tych dwóch dowodów — przysługuje wszędzie wolny nocleg w schronisku własnem lub w wskazanem przez zarząd miejscowy. Kto przychodzi w sobotę, może pozostać dwie noce, czyli do poniedziałku, aby nie zaniedbał swoich obowiązków religijnych. Stowarzyszenie, zasobne w środki, daje czeladnikowi wędrownemu jeszcze posiłek bezpłatny. Wsparcie jednorazowe (nocleg i posiłek) obowiązuje na przestrzeni 15 km.; chodzi o to, by zapobiec nadużyciom. Nie udziela się gotówki. W nagłych i nieprzewidzianych wypadkach np. choroby, bezrobocia decyduje prezes lub gospodarz. W pierwszym roku przynależenia do organizacji można liczyć na 30, w latach następnych na 40 bezpłatnych noclegów; są one kolejno notowane w książeczce wędrownej. Członków wędrownych przyjmuje się latem przed 9, zimą przed godz. 8 wieczorem. Regulamin wewnętrzny podaje wskazówki, jak goście winni się zachowywać w schronisku. Gdy członek znajdzie pracę, musi się zgłosić — najdalej w 8 dniach — w miejscowem stowarzyszeniu wraz z dokumentami lub u proboszcza, o ile niema organizacji lokalnej; w ostatnim wypadku członek zgłasza się wprost do centrali, skąd odbiera pisma i znaczki. Z dobrodziejstwa wolnych noclegów i posiłków nie może korzystać członek przed ostatecznem przyjęciem do stowarzyszenia lub członek stały, ale będący na wakacjach.

Na szczególną uwagę zasługują złote myśli i uwagi X. Kolpinga, przeznaczone dla czeladzi wędrownej. Pierwsza zasada naczelna brzmi: religja twoja i wiara ponad wszystko! Religja potrzebna ci za życia i w chwili śmierci. Wyznawaj mężnie jej prawdy, zachowaj przepisy. Dowodem twej wiary to postępowanie zgodne z przykazaniem Bożem. Uszanuj niedzielę i święto, bierz udział w nabożeństwie, idź do Komunji św. Pomnóż wiadomości religijne, bo gdy lepiej poznasz Boga, więcej Go ukochasz i wierniej Mu będziesz służył. Codzienna modlitwa uchroni cię od złego. Prawdziwa bojaźń Boża jest początkiem wszelkiej mądrości. Młodość skromna, żywa, radosna, serce czyste, rozum jasny — to ci zapewni żywot szczęśliwy. Druga zasada brzmi: bądź zawsze dzielnym członkiem społeczeństwa! Szanuj swój stan, do którego Bóg cię powołał. Każdy uszanuje go, jeśli ty sam go uszanujesz. Dąż do tego, byś dzielny był w swoim zawodzie. Co z siebie zrobisz, tem jesteś. Podstawą twej dzielności to uczciwość i wierność. Wszystkie swe władze duchowe i fizyczne zużywaj na to, byś — godziwie z nich korzystając — dał sobie radę w świecie. Każdy robotnik ma

w sobie kapitał; szukać go trzeba w miłości, w jej sile i zasłudze. Oszczędność, nie będąc ani sknerstwem, ani rozrzutnością, jest cnotą chrześcijańską, opartą na religji, owszem, nawet sztuką; brak zaś oszczędności prowadzi do nędzy. Co dobre, popieraj, natomiast uciekaj od rzeczy szkodliwych. Bądź upokorzony, usłużny, a nie żądaj zawsze zapłaty za jakąkolwiek przysługę. W ten sposób pozyskasz łatwo serca bliźnich. Chodź drogami prostemi, bo kręte drogi objawiają twą niemądrość. Nie myśl źle o innych, darz zaufaniem tych, co rzetelnością swoją na to zasługują. Serdecznej przyjaźni trzeba długo szukać. Nie licz zawsze z wdzięcznością, ona bowiem często zawodzi. Czyń dobrze dla Boga, a nie ze względów ludzkich. Wierny członek stowarzyszenia czeladzi jest posłuszny prawu, gdyż nakazuje mu to sumienie. Bój się Boga i szanuj głowę państwa. Trzecia zasada brzmi: wszędzie zabiegaj o to, byś wiernie służył stowarzyszeniu! Katolickie stowarzyszenie czeladzi równa się rodzinie. Każdy członek rodziny z obowiązku dba o jej honor i pomyślność. Honor jednostki stanowi o honorze całego stowarzyszenia. Stąd precz z członkami niegodziwymi! Brata swego, gdy błądzi, upominaj życzliwie; jeśli nie usłucha, zdaj sprawę tym, co wyżsi od ciebie. Gdzie powstaje spór, chciej pokoju. Jedność to hasło naczelne wszystkich braci. Zarząd jest przedstawicielem tej jedności. Pomagaj bratu, jeśliś mu potrzebny; kto sobie samemu może pomóc, niech się nie ogląda na drugich. Bierz skwapliwie udział w zebraniach, naukach, uroczystościach, w smutku i weselu. Nie pożałujesz tego, a innym dasz dobry przykład. Skoro są braki, niedomagania, skargi — nie możesz tego bagatelizować. Trzeba wszelkie zło wczas usunąć. Życzenia osobiste należy podporządkować dobru ogólnemu. Stowarzyszenie bowiem istnieje nietylko dla ciebie, lecz dla wszystkich. Dzieci jednej rodziny mają równe prawa i obowiązki. W obejściu z kolegami nie zważaj tylko na szatę, bo więcej znaczy serce. Chrześcijaństwo patrzy nie na skorupę, ale na jądro. Zdobywaj zachowaniem poprawnem i przyjaźnią innych czeladników dla stowarzyszenia, takich, co mu przysporzą honoru. Nie zapieraj się organizacji czeladzi i prowadź się tak, aby w tobie ludzie uszanowali stowarzyszenie. Czwarta zasada brzmi: W czasie wędrówki nie zapominaj o tem, żeś członkiem katolickiego stowarzyszenia czeladzi! Wędrówka ma dobre i złe strony. Młodzieniec lekkomyślny skłaniać się będzie do złego, roztropny do dobrego. Wędrówka jest nauką na przyszłość. Co nie prowadzi do celu, upatrzonego w życiu, tego należy unikać również na wędrówce. Wędrowanie i praca na obczyźnie to najbliższa i ostateczna szkoła, prowadząca

do stanu mistrzowskiego. Tam znajdziesz najlepszą sposobność, byś się usamodzielnił. Wędrówka to dowód egzaminu, czem jesteś i co umiesz. Kto idzie na wędrówkę, winien kierować się już pewnemi zasadami i mieć stały charakter, inaczej moralnie upadnie, przy lada sposobności stchórzy i zginie, jak wielu młodych ludzi. Udając się na wędrówkę, winieneś także posiadać pewną znajomość i biegłość w swym fachu, jeśli chcesz liczyć na powodzenie. Blaga nic tu nie pomoże. Wszelkie grubjaństwo jest rzeczą wstrętną, także u czeladnika. Bądź ostrożny w obcowaniu z ludźmi, których nie znasz. Strzeż się szczególnie tych, co z udaną serdecznością i poufałością zbliżają się do ciebie. Znajomości w drodze unikaj; odwodzą bowiem od celu, a nawet szkodzą. Uczciwego człowieka poznasz z tego, jak się odnosi do kobiet. Ubieraj się skromnie i schludnie; brud i strzępy w ubraniu świadczą o zaniedbaniu wewnętrznem. Bądź wstrzemięźliwy w jedzeniu i piciu, uciekaj od zwykłego gościńca, a szukaj domu przyzwoitego. Kładź się do łóżka czystego i śpij sam. Jeśli znajdziesz schronisko, przeznaczone dla czeladzi, śpiesz do niego i przedłóż książeczkę wędrowną. Nie licz na wsparcie pieniężne. Oszczędzaj, abyś w czasie wędrówki nie był żebrakiem, oglądającym się na litość, bo to nie godzi się porządnemu czeladnikowi. Kto kłamie i drogą oszustwa usiłuje wyjednać dla siebie pewne korzyści, traci prawo przynależenia do organizacji. Gdy przyjdziesz do jakiej miejscowości, gdzie istnieje stowarzyszenie czeladzi, zgłoś się czemprędzej u prezesa. Przy powitaniu i pożegnaniu pamiętaj o pozdrowieniu: Błogosław, Boże, uczciwemu rzemiosłu! Ponieważ Bóg jest twoim przewodnikiem, nie zaniedbuj modlitwy porannej i wieczornej. Przechodząc obok kościoła, myśl o Bogu, wstąp do świątyni i złóż pokłon Najwyższemu. Wysłuchaj — gdy możliwe — Mszy świętej. Miej wysokie poszanowanie dla religji. Nie wstydź się wiary, owszem, wyznawaj ją otwarcie. Innowiercami nie pogardzaj i nie wdawaj się w dyskusje religijne. Zato pogłębiaj swoją wiarę. Uciekaj od bluźnierców, bo w ich towarzystwie niczego nie zyskasz, a dużo stracisz. Pobożność jest ozdobą. W pożyciu z ludźmi, w domu czy na obczyźnie, pamiętaj o tej Boskiej wskazówce: „Czyńcie drugim to wszystko, co chcecie, żeby wam ludzie czynili".

Głównem środowiskiem całego ruchu są domy czeladnicze. Mają one już swoją historję. W ciągu wielu lat nagromadzono mnóstwo doświadczeń, dlatego istnieją obecnie bardzo szczegółowe przepisy, obowiązujące wszystkie podobne zakłady. Czem jest dom czeladniczy?

Dom czeladzi katolickiej jest ogniskiem dla młodzieży pracującej. To nie jakieś schronisko dla starców lub

dzieci, albo dom poprawy, to nie klasztor, ani gościniec lub hotel. To dom rodzinny dla tych, co ukończyli naukę w pewnym zawodzie i w przyszłości zajmą stanowisko odpowiednie w społeczeństwie jako obywatele i rękodzielnicy.

Naogół przyjęła się w organizacji forma stowarzyszenia sądownie zapisanego. Niekrępowane większemi formalnościami, stowarzyszenie zarządza swoją własnością tj. domem czeladniczym. Zaniechano dawnej praktyki, że właścicielem domu stowarzyszeniowego jest tylko jednostka.

Administracja domu czeladniczego spoczywa w rękach gospodarza, który odgrywa rolę przewodniczącego, niekiedy ważniejszą jeszcze niż prezes, nie mieszkający w tym samym gmachu. Rzecz prosta, że winien się odznaczać gorliwością i uczciwością. Program stowarzyszenia to program jego życia, które poświęca dla dobra bliźnich. Jest on doradcą i przyjacielem całej czeladzi, ponad którą się nie wynosi, służąc jej przykładem i prawowitością. Zastępując prezesa w wielu sprawach, czuwa nad porządkiem ogólnym i cnotą mieszkańców, łagodzi ewentualne nieporozumienia opiekuje się stałymi lokatorami, przyjmuje i umieszcza przyjezdnych. Cały zarząd domu prowadzi na rachunek stowarzyszenia czeladzi, które go utrzymuje. Gospodarz ma do dyspozycji służbę, w kuchni i w pokojach; niekiedy pracują w domach czeladniczych siostry zakonne.

Każdy gospodarz odbiera szczegółowe wskazówki, jak prowadzić książkowość, jak załatwić sprawy podatkowe, w jaki sposób ubezpieczyć majątek stowarzyszenia i t. d.

Czeladnicy zamieszkują dom na stałe lub przejściowo. Mieszkaniec stały płaci za pobyt tygodniowo. Specjalny regulamin domowy określa prawa i obowiązki lokatora. Wszystkie pokoje są niedostępne od 8—12, gdyż wtedy służba sprząta i porządkuje. Osobny regulamin obowiązuje gości czyli czeladź przyjezdną. Korzystają oni z jednego tylko noclegu. Rozporządzenia podaje się ustnie raz po raz do ogólnej wiadomości, aby przypomnieć w ten sposób zadania i obowiązki wszystkich mieszkańców.

Stowarzyszenia czeladzi katolickiej rozwinęły się wspaniale. W r. 1865 było ogółem 418 stowarzyszeń i 24 600 członków, w r. 1885 — 646 stow. i 38 044 członków, w r. 1905 — 1 123 stow. i 72 745 członków, tuż przed wojną w r. 1913 — 1 265 stow. i 79 342 członków; po wojnie w r. 1925 — 1 435 stow. i 91 649 członków, w r. 1927 — 1 722 stow. i 102 956 członków; z tego na Niemcy przypada 1 346 stow. i 84 000 czynnych członków, na inne kraje 376 stow. i 18 956 członków (i to: Austrję, Węgry, Szwajcarję, Holandję, Czechosłowację, Polskę, Rumunję, Jugosławję, Włochy, Belgję, Luksemburgję, Gdańsk, Amerykę Północną i Południową).

Ogromną przewagę mają Niemcy; jest to ich ruch rodzinny. Poza tem jednak stowarzyszenia szerzej się rozwinęły w Austrji (98 stow. i 3 063 czł.), w Holandji (78 stow. i 5 487 czł.), w Węgrzech (56 stow. i 4 200 czł.) i w Szwajcarji (56 stow. i 1 823 czł.).

Liczba domów własnych w r. 1927 wynosiła ogółem 369, liczba schronisk 108, najętych siedzib 8 267. W jednym roku przewinęło się przez własne domy 1 753 315 czeladników, noclegów udzielono 216 460, posiłków 333 910.

W statystyce ogólnej Polska figuruje od r. 1922, w którym było 32 stow. i 870 członków, w r. 1925 — 25 stow. i 900 członków. Wykaz z r. 1928 podaje 21 stowarzyszeń na Śląsku, 5 stowarzyszeń w Wielkopolsce i 4 stow. na Pomorzu. Statystyka z 1 października 1927 r., zawarta w „Wiadomościach" czyli w oficjalnym organie zawiera nieco oryginalne zestawienie, mianowicie czytamy, że wśród diecezyj niemieckich znajduje się „Gnesen — Posen" z 5 stow. i kilkuset członków a na tej samej stronie „Polen" z wyżej wspomnianemi liczbami. Podobnie, gdy chodzi o liczbę domów, działalność społeczną i charytatywną domów i stowarzyszeń, dalej o wydatki, sport i t. p. — statystyka odróżnia diecezję gnieźnieńsko-poznańską od Polski. Przypuszczać należy, że w wykazie mowa jest o tym skrawku wielkopolskim, który przypadł po wojnie Niemcom.

Nakoniec podaję nieco literatury:

Schäffer: Adolf Kolping, der Gesellenvater, str. 286.

Dr. Brauer: Adolf Kolping, str. 123.

Dr. Nattermann: Adolf Kolping als Sozialpädagoge und seine Bedeutung für die Gegenwart, str. 211.

Dr. Franz: Adolf Kolping, str. 60.

Nadto cykl borszur: Adolf Kolping: Der katholische Gesellenverein und seine Aufgabe, str. 38; Dr. Brauer: Der Berufsgedanke im katholischen Gesellenverein, str. 22; Dr. Nattermann: Der Gesellenverein als Volkshochschule, str. 33; Dr. Schwer: Kolping und seine Zeit, str. 30; Das Programm des katholischen Gesellenvereins, str. 52; Dr. Nattermann: Gesellenverein und Demokratie, str. 39; Dr. Zimmermann: Rationalisierung und unser Programm, str. 68; Winkler: Die berufliche Wanderschaft der werktätigen Jugend. Najnowszą publikacją są: Unser Manifest (deklaracja całej organizacji, uchwalona w 1927 r. w Wiedniu), str. 28 oraz Unser politischer Wille, str. 27. Na uwagę zasługuje broszurka, pięknie wydana, p. t. Kernsprüche des Gesellenvaters Adolf Kolping, str. 80. Prócz tego istnieje mnóstwo różnych innych broszur i ulotek, kalendarzy, śpiewników, środków pomocniczych i agitacyjnych. Sprawie administrowania domów czeladni-

czych poświęcono osobną książkę p. t. Geschäftsführung und Verwaltung des Katholischen Gesellenhauses, str. 123. Z czasopism wymieniam organ oficjalny (drukowany jako manuskrypt): Mitteilungen, Das Gesellenheim (pisemko, roztrząsające zagadnienia administracyjne domu czeladzi). Silniejsze stowarzyszenia wydają własne pisemka, n. p. kolońskie: Die Kolpingsfamilie, lub sprawozdania z rocznej działalności, n. p. Der Geselle in der Freizeit, Arbeitsbericht.

Sekretarjat Generalny znajduje się w Kolonji (Köln, Norbertstr. 12).

F. Żurowska.

Jak pracuje katolicka młodzież robotnicza w Belgji?

Od szeregu miesięcy śledzę z bliska życie Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży robotniczej w Belgji. Sława, jaką się cieszy we własnym kraju oraz zagranicą „La Jeunesse Ouvriére Chrétienne", żeńska i męska, czyli w skróceniu t. zw. JOCF i JOC, nie jest wcale przesadzona. Jest to prawdziwa armja Chrystusowa, żyjąca według zasad wiary, którą zna się gruntownie i praktycznie.

Forma organizacyjna przypomina nieco nasze Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, ale są pewne różnice bardzo charakterystyczne. Przedewszystkiem rola patronatów jest tu nieznana. Udział starszych jest stosunkowo minimalny, zasadą bowiem organizacji jest: młodzi dla młodych. To też dziś w każdem stowarzyszeniu jest ksiądz czy kierowniczka, którzy całą siłą starają się z grona młodzieży wychować elitę, która potem obejmie najważniejsze placówki organizacyjne i w zupełności spełni te zadania, jakie u nas przypadają patronatowi.

Miałam sposobność poznać dużo dziewcząt z tej elity JOCF. Są to jędrne charaktery, wypróbowane w walce o byt i walce o triumf Chrystusa w Belgji. Każda z nich codzień o świcie spieszy do Komunji św. i z Chrystusem w sercu spędza dzień pracy i godziny rozrywki. Ale daleko im do bigoterji. Gdy mówią, że Chrystus jest ich życiem, umieją to twierdzenie udowodnić czynem.

Prócz codziennej Mszy i Komunji św. utrzymuje je na wyżynie życia nadprzyrodzonego także szereg praktyk, związanych ściśle z życiem organizacyjnem. Kwartalne kilkodniowe zamknięte rekolekcje, oraz jednodniowe miesięczne skupienia należą do stałego programu pracy stowarzyszenia. I trzeba widzieć te młodziutkie robotnice, których życie

ubiega przy łoskocie maszyn, ukryte co kilka tygodni w ciszy kaplicy na poddaszu domu związkowego, jak ponad gwarem stolicy klęczą zatopione w modlitwie i modlą się o siłę i otuchę, o hart i wytrwanie, przepraszają za mimowolne jeszcze upadki, wołają do Serca Jezusowego, by dał ich akcji cudotwórczą skuteczność apostolską, trzeba je widzieć u stóp tabernakulum, by uwierzyć w istotną potęgę tej organizacji.

A potem spotykam się z niemi na zebraniach. Dla przygotowania elity istnieją t. zw. cercles d'études, czyli kółka wyrobienia wewnętrznego, prowadzone metodą dyskusyjną. Wiele tu wrzawy i śmiechu, wiele szczerych odpowiedzi, żywych pytań, jak postąpić w tym lub innym wypadku.

Druchny belgijskie wybierają się wszystkie zamąż. Życzy im tego zresztą cały zarząd organizacji, wszyscy księża patronowie i panie kierowniczki. To też większość zebrań poświęca się omówieniu spraw, związanych z życiem codziennem. Dla narzeczonych urządza się specjalne pogadanki, gdzie już z całą dokładnością przygotowuje się je do stanu małżeńskiego. Dla ogółu członków istnieją t. zw. „soireés jocistes", podczas których dziewczęta szyją sobie wyprawę, choć jeszcze o małżeństwie realnie nie myślą. Czyta się lub rozmawia o zaletach matki i żony. Piosenki sentymentalne śpiewane są zupełnie jawnie. Specjalne autorki układają teksty, trochę nawet za czułostkowe, jak na polski gust. Okręgi i związki urządzają jednodniowe kursy i zjazdy, na których dyskutuje się przygotowanie młodzieży do małżeństwa. Na jednym z takich kursów byłam świadkiem, jak ksiądz patron okręgowy dyrygował chórem. Cała sala powtarzała refren: „Kochajcie się, kochajcie się! Macie do tego prawo i w tem jest wasze szczęście!"

To samo dzieje się w stowarzyszeniach męskich. Rola męża i ojca omawiana jest dokładnie. Ale to wszystko mało, Kierownicy organizacyj uważają, że nie wystarczy wychować wzorowo dziewczęta i chłopców na dobre matki i ojców, ale trzeba im jeszcze ułatwić pobranie się. Ideałem JOC i JOCF są małżeństwa między członkami. Zaczynają one być też coraz liczniejsze, a organizacja urządza nawet zabawy towarzyskie celem zaznajomienia młodzieży między sobą. Wychodzi się z założenia: Dlaczego dobra dziewczyna ma dostać lichego męża i odwrotnie. Trzeba, aby dobrzy pobierali się między sobą. Ułatwia to odrodzenie społeczeństwa. Przed kilku dniami byłam na publicznym wykładzie ks. Cardijna, naczelnego dyrektora obu organizacyj i wogóle twórcy ruchu JOCF i JOC. Mówił o fatalnych warunkach rodzinnych sfer robotniczych i zakończył tym płomiennym okrzykiem: „Ale widzę szeregi młodego pokolenia, które powoli rozpleniają się po całej Belgji. To robotnice i robotnicy wychowani

w naszej organizacji. Stowarzyszenia nasze zbliżają ich do siebie. Małżeństwa jocistów z jocistkami to odrodzenie naszego kraju!“

Tak to Belgowie umieją wnikać w życie codzienne członków stowarzyszeń i budować przyszłość katolickiego społeczeństwa nie teorją, ale praktycznemi zastosowaniami. U nas te kwestje stawiane są zupełnie inaczej. Ciekawą byłaby kiedy fachowa dyskusja na ten temat. Także i w ujmowaniu innych spraw życiowych zorganizowanej młodzieży przebija się ta sama tendencja stania na realnym gruncie dnia codziennego, a nie teoretyzowania bez ułatwienia wykonania tego, o czem się mówi.

Wogóle kierownicy wszelkich organizacyj belgijskich kładą nadzwyczajny nacisk na praktyczne ujęcie zadań swych stowarzyszeń. Dawno już doszli do przekonania, że człowiek dopiero wtedy jest w możności dbać o postęp swój w życiu duchowem, kiedy ma zaspokojone potrzeby doczesne, przynajmniej w jaki taki sposób. To, że państwo nie wkracza wcale w różne dziedziny, ułatwia wielce organizacjom społecznym ujęcie tych spraw w swoje ręce i przez to wywierania poważnego wpływu na swych członków. I tak np. zarówno katolickie, jak i socjalistyczne organizacje społeczne mają swoje własne kasy chorych, swoje ubezpieczenia, stacje higjeniczne i t. p.

Dziś hasłem organizacyj katolickich jest zdanie: „Musimy zajmować się każdym naszym obywatelem od jego 3-go roku życia.“ Interesowanie się młodzieżą dopiero od 14 roku życia uważają za akcję spóźnioną. I tak matki mają prawo dla swych trzyletnich dzieci otwierać książeczki oszczędnościowe posagowe, wypłacane w dzień ślubu lub w razie niezamążpójścia w 30 roku życia. Towarzystwa oszczędnościowe organizacyj katolickich w ten sposób kładą niejako rękę na dziecko, które z czasem przechodzi przez wszystkie stadja organizacyj, a łączą się one ze sobą wzorowo i przekazują członków w pewnych granicach wieku, tak że dopiero śmierć kładzie koniec zrzeszaniu się jednostki belgijskiej.

Ten sam duch praktyczności przenika stowarzyszenia młodzieży żeńskiej i męskiej, t. zw. JOCF i JOC. Co roku centrala ogólnokrajowa rzuca pewien temat do przedyskutowania na zebraniach, zjazdach, kursach, a temat ten ściśle się wiąże z życiem codziennem członków.

I tak np. w roku obecnym rozpatrywana jest kwestja wypadków i niebezpieczeństw przy pracy i możność zapobiegania im. Wszędzie, jak Belgja długa i szeroka, w stowarzyszeniach męskich i żeńskich na zebraniach toczą się nieskończone dyskusje o sposobie zorganizowania pracy w fabrykach. Czy maszyny są praktyczne i nie zagrażają życiu robotników,

czy sale są ogrzane i wietrzone, czy robotnicy mają przerwy obiadowe i możność higjenicznego spożycia przyniesionych zapasów, czy są apteczki, poradnie lekarskie i t. p. Dalej kwestja ubezpieczeń, leczenia, rent, oszczędności. Wreszcie dziedzina niebezpieczeństw moralnych, które na równi z fizycznemi traktuje się obszernie, wyczerpująco, bez ogródek. Wyciąga się wnioski, jak zapobiegać tym lub tamtym nadużyciom, jak strzec ciało przed kalectwem i duszę przed skażeniem. Centrale organizacyjne robią wreszcie odpowiednie kroki u władz i zarządów fabryk, celem poprawienia doli robotniczej. Publiczne wykłady, a co bardziej zajmujące wędrowne wystawy przyborów ochronnych w pracy wszystkich zawodów uświadamiają także sfery pozaorganizacyjne. Te wystawy, organizowane szczególnie przez młodzież męską, zyskały jej wprost olbrzymią popularność wśród mas robotniczych. A obecność episkopatu przy ich otwarciu była jaskrawym dowodem, że Kościół katolicki interesuje się także praktycznie dolą robotnika, co niesłychanie podniosło prestige duchowieństwa wśród ludzi i członków organizacji.

Każda taka praktyczna kwestja dyskutowana jest w stowarzyszeniu przez cały rok jako temat główny. (Oczywiście są i inne poboczne.) To też z roku na rok młodzież belgijska ma szerzej otwarte oczy na życie, jego burze i przepaście, a równocześnie dowiaduje się, jak stawiać czoło jednym a jak usuwać drugie, by nie zagrażały dalszym pokoleniom.

Ale to praktyczne ujmowanie spraw stowarzyszeniowych nie obniża wcale wysokiego poziomu duchowego, jaki w nich panuje. Jak pisałam już innym razem, młodzież belgijska pracuje wewnętrznie tak intensywnie nad sobą, że pod tym względem stoi z pewnością na czele młodzieży całego świata.

Jeżeli już mówię o tem nadzwyczajnem dostosowaniu się do spraw życiowych członków, muszę wspomnieć także o świetnych sposobach popularyzacyjnych kierowników stowarzyszeń. We wszelkich rozmowach nie ma abstrakcyjnego, czysto intelektualnego traktowania tematów. Belgja to chyba kraj dosadnych porównań. Wszystko co umysłowe, oparte jest o przykład życiowy. Takie przykłady wbijają się w pamięć na całe życie. Byłam raz świadkiem, jak młoda dziewczyna pytała księdza patrona na zebraniu, co robić, gdy ludzie wygadują na księży, nie chcą chodzić do spowiedzi, na Mszę św., pozorując swą abstynencję tem, że ów ksiądz nie stoi na wyżynie kapłana katolickiego. Na to patron odparł z całą prostotą. „Źródłem religji jest Pan Bóg, a ksiądz to wodociąg, czy można potępiać źródło, gdy wodociąg popsuty? Powiedz tak twoim znajomym, a zamkniesz im usta.“ Po zebraniu owa dziewczyna nie mogła się uspokoić z radości. Zacierała ręce, mówiąc: „A to sobie spamiętam do

śmierci! I nasi ludzie też to zrozumieją. Nie mógł mi lepiej odpowiedzieć!" Oto mały przykład, a mogłabym ich przytoczyć setki.

Wreszcie co jeszcze charakteryzuje Belgję nadzwyczajnie, to ogromna jedność organizacyjna. Jak jeden mąż stoją wszyscy, każdy w swoim stopniu organizacyjnym. Centrala uradzi, postanowi, zaproponuje: niższe stopnie przyjmują jakby to był rozkaz, choć mają autonomiczne statuty. Co prawda jest Belgja dwanaście razy mniejsza od Polski, komunikacje są nadzwyczajne, to co oni nazywają różnicami lokalnemi co do poziomu, dla nas wydaje się główką od szpilki, i to dużo im pomaga w opracowaniu jednolitych planów pracy i metod. W każdym razie umieją wykorzystać swoje warunki krajowe i idą zwartym, karnym szeregiem pod jednem entuzjastycznem i zwycięskiem hasłem: „Wróćmy Belgję Chrystusowi!"

Wł.

Uwagi i wrażenia z VII-go Międzynarodowego Kongresu Katolickiej Unji Stowarzyszeń kobiecych.

W kwietniu roku bieżącego odbył się w stolicy Holandji, w Hadze, VII Międzynarodowy Kongres Unji Katolickich Stowarzyszeń Kobiecych. Zarówno znaczeniem omawianych tam spraw, jak i zewnętrzną swą stroną zasługuje on na baczną uwagę, tak że należy mu się obszerniejsze sprawozdanie.

Pierwszy referat poświęcony był sprawie konieczności współpracy międzynarodowej. Wygłosił go ks. de la Brière, redaktor miesięcznika „Etudes". Ten właśnie fakt, tak wywodził on, że każdy problem, każde zagadnienie staje się w naszych czasach natychmiast zagadnieniem międzynarodowem, jest dla naszej epoki cechą charakterystyczną. Warunki pracy i produkcji zmieniły się przez wielkie odkrycia XIX wieku w ten sposób, że każdy naród, z jednej strony potrzebuje drugiego jako odbiorcy, a z drugiej strony zależny jest od niego jako konsument. Wyrastają więc wzajemne potrzeby, a co za tem idzie, wzrasta i solidarność. Każdy strajk w poszczególnych krajach, czy każda jakaś katastrofa, odbija się na wszystkich. Jedność świata się zacieśnia, bo każde państwo posiada u siebie przedstawicieli innych ludów, a każde państwo ma także własnych swoich obywateli na obcych terytorjach. I w ten sposób mnożą się stosunki międzynarodowe, zarówno faktyczne, jak prawne. Widzimy i zewnętrzne cechy tego ciągłego wzajemnego wpływu narodów na siebie. Ubranie ujednostajnia się wszędzie, podobnie jak i obyczaje, a ży-

cie polityczne, handlowe, przemysłowe ukazuje we wszystkich krajach wiele podobieństw. Teatr, tak jak kinomatograf i sport, mają wszędzie te same prawa i przepisy, a prasa i radjo rozpowszechniają te same pojęcia, te same idee. Mamy więc wszędzie wzajemną zależność ekonomiczną i wiele wspólności kulturalnych. Niepodobna zatem kwestjonować istniejących stosunków. A co za tem idzie, trzeba uznać, że niema już zagadnień, którebyby były zagadnieniami tylko lokalnemi. Każdy problem zostanie zbadany i rozwiązany dopiero wówczas, gdy się go rozpatrzy z punktu widzenia najogólniejszego, a wzajemna współpraca i współuczestnictwo we wszystkiem przybiera nieznane dotąd znaczenie. Taka międzynarodowa społeczność istniała zresztą zawsze, gdyż leżała ona w zamiarach Bożych, ale obejmowała dotąd tylko pewną cząstkę świata. Dziś przeciwnie, skomplikowane te stosunki obejmują cały świat i stają się charakterystyczną cechą naszej cywilizacji; powstają co chwila zagadnienia, czyto w sprawach pieniężnych, czy pocztowych, czy higjeny i zdrowotności, czy moralnej ochrony przed złem, które to zagadnienia wymagają rozwiązania międzynarodowego. Potrzeba więc stałych instytucyj, biur czy zarządów lub sekretarjatów do regulowania tego rodzaju zagadnień. Najwyższym wyrazem tej potrzeby, a zarazem tej ewolucji naszej cywilizacji w kierunku międzynarodowym jest Liga Narodów. Ale istnieją także instytucje prywatne. Mamy więc socjalistyczne i chrześcijańskie międzynarodówki robotnicze, literackie i charytatywne, a nawet sportowe. Rozumieli to dobrze nieprzyjaciele religji, jak wielki wpływ i znaczenie można osiągnąć przez umiędzynarodowienie swych instytucyj, i pierwsi przystąpili do tego dzieła. Tu się rozwija działalność propagandy, nienawidzącej katolicyzmu, tu się skupia handel żywym towarem, rozchodzi się moda najnowsza, tańce i filmy. A niebezpieczeństwo ich powiększa się stokrotnie tem, że jest ono międzynarodowe. Widzimy tu więc jasno wypływający dla katolików obowiązek zapewnienia sobie tego samego wpływu i znaczenia na terenie międzynarodowym. Rolę taką spełnia w zagadnieniach dotyczących pracy w stowarzyszeniach kobiecych właśnie Unja. Przez należenie do niej nietylko można korzystać z poznania metod pracy w innych krajach, ze sposobów walki ze złem i pozytywnych wysiłków rozszerzenia królestwa Bożego na wewnątrz i zewnątrz, jednem słowem, korzystać z przykładu gorliwości innych, ale zyskuje praca organizacyj kobiecych niezmiernie na wydajności i na owocności, pozwala nam spojrzeć szerzej i wspólne wysiłki dla ogólnego dobra koordynować; że wymienię tu tylko kilka sekcyj pracujących w Unji, więc sekcja ochrony kobiet, sekcja propagandy i obrony wiary, sekcja pracy kobiecej.

Głównym przedmiotem obrad Kongresu była sprawa podniesienia poziomu moralnego rodziny. Wszystkie więc główne referaty, odczyty, obrady poszczególnych komisyj obracały się dookoła tego tematu, począwszy od przemówienia nuncjusza, który Kongres otworzył, nazywając kobietę kamieniem węgielnym rodziny. Omawiano główne niebezpieczeństwa, grożące rodzinie: doktryny komunistyczne, demoralizację, którą pociąga za sobą uznanie rozwodów, dalej ochronę prawną dzieci nieślubnych, neomaltuzjanizm.

Z referatów tych, ujętych głęboko i bardzo poważnie, okazało się, że na zachodzie, zwłaszcza we Francji, walkę z komunizmem prowadzi się dużo energiczniej i otwarciej niż u nas w Polsce. Komunizm pracuje tam otwarciej niż u nas, ale mimoto tą samą swoją metodą, więc obłudą i ukrywaniem właściwych zamierzeń, któreby od niego odsunęły sympatje. Walka katolików z temi doktrynami komunistycznemi odbywa się przeważnie na terenie intelektualnym, polega na podejmowaniu publicznych dyskusyj w stowarzyszeniach i zebraniach komunistycznych, na zdzieraniu maski obłudy z ich teoryj i doktryn, pociągających i nęcących niezadowolone jednostki i bankrutów życiowych, na wykazywaniu fałszywości i beznadziejności pseudomistycyzmu komunistycznego, który swym językiem, używającym umyślnie tych samych wyrazów, co religja katolicka, a oznaczających jednak zupełnie co innego, prowadzi na manowce nieuświadomionych i niewyrobionych pod względem religijnym. Dyskusje takie podejmują kobiety, tak samo jak mężczyźni: warunki, w jakich pracują, oświetli najlepiej wspomnienie, że przemawiają często do ludzi nieochrzczonych, którzy o religji katolickiej wogóle nie słyszeli i o niej nie mają żadnego pojęcia; owocem ich pracy bywają nawrócenia, a więc chrzty dorosłych, (jedno stowarzyszenie miało w ciągu roku takich chrztów 25). Stwierdzono, że rozwój propagandy antykatolickiej opiera się głównie na ignorancji katolików. Katolicy nie czują się dość swobodnie w dziedzinie swej religji. Potrzeba tu w praktyce psychologicznego wpływu głębokich przekonań. Komuniści porywają właśnie przez głębokie wewnętrzne przekonania. Prócz dyskusyj pracę tę ułatwiają kółka naukowe, cercles d'études, do których przyjmuje się osoby najróżniejszych przekonań, pracuje nad niemi, i za łaską Bożą powoli się je wyrabia i przerabia. Oczywiście, bywa także zupełny brak rezultatów widocznych. Rozróżnić jednak trzeba takie koła naukowe od kół apostolstwa czynnego. Koła naukowe dążą do tego, by dać poznać prawdę, koła czynnego apostolstwa świeckiego wyrabiają propagandystki katolickie i to we wszystkich środowiskach, w salonie,

w szkole, w sklepie, w fabryce. Propagandystki te wyrabiać trzeba indywidualnie, później dopiero łączy się je w grupy. Mamy tu dwa działy pracy. Pierwszy dział to praca wychowawcza, podająca pobudki, naglące do poświęcenia się i wysiłków, i to pobudki przekonywujące i porywające, przekonywujące o absolutnej konieczności tej pracy, że jeżeli ty i ty właśnie tej pracy nie dokonasz, to nikt cię nie zastąpi. Drugim działem to organizacja praktyczna. Trzeba wyrabiać specjalne propagandystki, którym się powierza przyjmowanie przybywających, inne, których zadaniem jest jedynie zajęcie się nieśmiałemi, inne, które zajmują się wyłącznie stroną aprowizacji. Starać się trzeba wyrabiać ludzi, osobistości, o wpływie promieniujacym daleko, a nie typ poczciwej, ale niewiele znaczącej pracowniczki.

Inną potrzebą gwałtowną wszystkich krajów są s z k o ł y s p o ł e c z n e. Trzeba, by każda z uczestniczek wyjechała z tego Kongresu z głębokiem przeświadczeniem, że w jej kraju musi powstać szkoła nauk społecznych, a jeżeli taka już istnieje, to musi ich powstać więcej. W dzisiejszych czasach akcja społeczna jest pracą narodową. Trzeba, by szkoły społeczne mogły stanąć w rzędzie szkół oficjalnych i by otrzymywały subsydja rządowe. Jeśli katolicy nie będą mieli szkół, nie dostaną subsydjów. Musimy mieć całą armję specjalistów-funkcjonarjuszy społecznych. Trzeba ich wyrobić, trzeba tworzyć szkoły w tym celu. Na całym świecie istnieje 22 katolickich szkół społecznych, a 72 n i e k a t o l i c k i c h. W tych szkołach musimy dawać do ręki nietylko zawód, ale i światopogląd.

Referat o rozwodzie podkreślał głównie sakramentalny charakter małżeństwa, jako związku nierozerwalnego. Już uczniowie Chrystusa powiedzieli, że twardą jest Jego mowa, głosząca nierozerwalność małżeństwa. W wiekach średnich istniało jedynie ustawodawstwo Kościoła w tej sprawie i jeden jedyny trybunał, Kościół; od czasu Lutra wkracza w tę dziedzinę element świecki, państwowy, odbierając małżeństwu jego charakter sakramentalny i niszcząc przez to jego podstawy; od owych czasów zaistniała możliwość rozwodu, bo prawo cywilne wstępuje w miejsce kanonicznego. Kultura współczesna jest wrogiem katolicyzmu. Referentka przestrzega przedewszystkiem przed ułatwieniami w prawodawstwie co do otrzymywania rozwodu; prowadzi to do największego rozprzężenia moralnego. Nie chodzi tyle o szczęście jednostek, ile o dobro ogółu, o urzeczywistnienie idei jedności rodzinnej i wzajemnej odpowiedzialności małżonków.

W sekcji ochrony kobiet najgorliwiej pracują Angielki i Amerykanki. Pragną one niezmiernie pomocy i współpracy międzynarodowej. Ideałem byłaby taka dokładna kontrola emigracji, by związki kobiece danego kraju wiedziały o każ-

dej wyjeżdżającej dziewczynie i zawiadamiały o niej organizacje kobiece, znajdujące się w porcie, do którego dąży okręt z emigrantami. Tymczasem statystyka oblicza, że w przeciągu 12 lat zniknęło bez wieści 50,000 dziewcząt. Pomogłoby tu ścisłe porozumienie z biurami emigracyjnemi i zmuszenie ich do liczenia się z naszemi związkami ochrony kobiet.

Osobny dzień Kongresu poświęcono zebraniu młodych. Tematem przewodnim tego dnia była odpowiedzialność nasza za łaskę chrztu i bierzmowania. Na zebranie to złożyły się referaty: „Dlaczego musimy rozumieć i żyć według rzeczywistości dogmatów naszej wiary", (ks. Plus), o rezultacie ankiety w sprawie braku katolickiego uświadomienia teoretycznego i praktycznego, o zasadach katolicyzmu, o intensywności życia religijnego w stowarzyszeniu młodzieży żeńskiej, o harmonji i współpracy społecznej na podstawie rozbudzenia sumienia i poczucia odpowiedzialności i o roli radości i rozrywek w organizacjach dziewczęcych.

Referatu ks. Plusa wysłuchano w zupełnej ciszy i w głębokiem skupieniu. Ta rzeczywistość, o której nam mówią nasze dogmatyczne dogmaty, jest jedyną prawdziwą rzeczywistością. Łaska poświęcająca, gdy ją nam Bóg dawał po raz pierwszy, kosztowała Go tylko tchnienie jedno, ale gdy ją nam przywracał, musiał za nią dać ostatnie westchnienie konania. Chrześcijanin — to dusza w ciele i Bóg w tej duszy. Właściwą łaską, którą na chrzcie otrzymujemy, to łaska męczeństwa, męczeństwo wierności. Ci, którzy są zdaleka od Boga, muszą widzieć w nas coś z blasku Jezusa Chrystusa.

Bardzo ciekawą była ankieta w sprawie braków uświadomienia o zasadach katolickich w praktyce i teorji. Okazało się, że wina tej ignorancji leży przeważnie albo w zaniedbaniu wychowania rodzinnego, albo w brakach wyniesionych w wykształceniu religijnem ze szkoły, albo wogóle w braku jakiegokolwiek wykształcenia religijnego w szkole. Stwierdzono konieczność pracy nad wyrabianiem elity; elita taka musi się odznaczać gorącym duchem nadprzyrodzonym, silnem odczuwaniem jedynej prawdziwej rzeczywistości, wreszcie gorliwym duchem apostolstwa.

Również niezmiernie interesującym był referat Włoszki panny Barelli, o możliwości intensywnego życia wewnętrznego w stowarzyszeniach młodzieży żeńskiej. Mówiła ona głównie o znakomicie prowadzonych i doskonale się rozwijających stowarzyszeniach dziewczęcych we Włoszech. Jest w nich zszeregowanych 500,000 dziewcząt. Główny wysiłek zarządów kieruje się do wyrabiania i podnoszenia w nich życia nadprzyrodzonego. Regulaminy są bardzo surowe, zabronione są wszelkie tańce i zabawy, teatry i przedstawienia. Trudnością największą, z którą muszą walczyć, to znowu ignorancja, nawet u osób pobożnych, także u tych, które co-

dziennie przystępują do Komunji św. By ją usunąć, wytęża się wszystkie siły. Urządza się więc rekolekcje tylko dla kierowniczek, bardzo poważne, dalej tygodnie dogmatyczne, w których wykłada się dogmatykę i apolegetykę. Tygodnie takie bywają zarówno diecezjalne, jak parafjalne. Wynikiem ich jest silny ruch liturgiczny i oparcie na nim życia wewnętrznego. Pomimo surowości regulaminu napływ jest duży i duch chętny i dobry; ofiara, której dostosowanie się do regulaminu wymaga, zostaje sowicie wynagrodzona wewnętrznem wyrobieniem.

Ostatni dzień Kongresu poświęcono studentkom uniwersyteckim. Przybyło ich bardzo dużo, z Holandji, Węgier, Francji, Austrji, Anglji, Danji, Belgji, Polski, Szwajcarji, Niemiec, Hiszpanji i Chin. Przewodnicząca zebrania w gorących słowach przedstawiła zgromadzonym potęgę międzynarodowego katolickiego ruchu kobiecego, opartego na potrzebach kultury współczesnej. Chodzi o solidarność w tym ruchu kobiecym, w życiu społecznem, charytatywnem, publicznem, na każdem polu, gdzie kobiety pracują. W wielkiej Unji kobiecej, takiej jak nasza, trzeba, by się znalazły i robotnice i pracowniczki umysłowe. Trzeba, by studentki już teraz zbliżyły się i poznały teren pracy, który za kilka lat będzie ich własnym terenem. Nie potrzeba już zakładać międzynarodowego związku studentek katolickich, bo taki już istnieje, jest nim Związek Pax Romana, ale chodzi o to, by studentki zbliżyły się do katolickiego ruchu kobiecego, by się wytworzyło porozumienie między temi, które się jeszcze uczą, a wkrótce będą pracować, a temi, które już pracują, o wejście w stosunki między sobą, o wzajemne wspieranie się. Na dnie tej dążności do porozumienia leży wielka idea jedności w ruchu kobiecym. Konkretnym wnioskiem tego przemówienia było wypowiedzenie się wszystkich delegatek, we własnem wprawdzie tylko imieniu, za potrzebą takiej współpracy; postanowiły one porozumieć się ze swojemi organizacjami, w jaki sposób możnaby zorganizować związek międzynarodowy studentek katolickich, któryby przyłączył się do Unji Kobiecej.

Gdy się przegląda ogólny program kongresu, uderza przedewszystkiem wielki nacisk, jaki położono przy wyborze zarówno tematów, jak i osób przemawiających (wielu księży) na życie nadprzyrodzone, na wyrobienie wewnętrzne. Uderza widocznie pragnienie, by Kongres ten był nietylko sprawozdawczym przeglądem sił i ułożeniem planów dalszej pracy, ale, by kobiety, które nań przybyły, jak najwięcej pożytku i pokarmu dla swej duszy z niego wyniosły. Nastrój zebrań był tak skupiony i poważny, że możnaby je chyba porównać z naszemi zebraniami sodalicyj marjańskich. Pobożność tych kobiet, szczególnie młodych, była budująca. Zjechało się ich z całego świata około 3000 osób, a wszystkie

prawie przystępowały codzień do Komunji św. Widać było, jak poważnie się na tę pracę swoją zapatrują, jak głęboko im ona na sercu leży, jak ją na pierwszem miejscu swych obowiązków społecznych stawiają. Dalej imponująca była ich znajomość liturgji: już z przemówień wynikało, jak bardzo mają z życiem liturgicznem bliski kontakt, jak na niem opierają swe intensywne życie wewnętrzne, ale i podczas przebiegu kongresu zdarzały się sposobności, by to okazać. Więc naprzykład zebranie młodych, w którem zresztą wszystkie brały udział, rozpoczęło się odśpiewaniem Veni Creator po łacinie, unisono, na nutę gregorjańską, śpiewały prawie wszystkie, i to wszystkie zwrotki na pamięć i nie fałszywie! A gdy przy śniadaniu wspólnem nadeszła wiadomość o nagłej śmierci biskupa z Haarlem, wstały wszystkie i odmówiły po łacinie psalm De profundis, znowu cały na pamięć, starsze i młodsze, z wielką prostotą i naturalnością. Każdy referat zaczynał się i kończył słowami „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", tak samo każdy krótszy czy dłuższy komunikat, który nam czytała przewodnicząca Unji. Każde zebranie też zaczynało się i kończyło prócz tego modlitwą.

Kongres zakończono przemówieniem doradcy duchownego Unji, który streszczając znaczenie obrad, podkreślił potrzebę nie paktowania ze współczesnemi zasadami pogańskiemi, ale bezwzględnej walki o całokształt naszych zasad i przekonań. Przewodnicząca Unji zakończyła obrady okrzykiem: „Niech żyje Chrystus Król. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

WYKŁADY I ODCZYTY.

Marjan Malczewski.

Wskrzeszenie Państwa Kościelnego.

Lotem błyskawicy przebiegła po całym świecie katolickim wieść radosna. Oto Zastępca Chrystusowy na ziemi, Ojciec św. uzyskał widomy znak swej niezależności w postaci odzyskania niezależnego państwa. Pięćdziesiąt ośm lat nosił papież miano „Więźnia Watykańskiego“ — nie mogąc się zgodzić na poniewierkę piastowanego przez siebie najwyższego urzędu. Znowu po latach długich, po zaborczym roku 1871, niekrępowany już żadnemi więzami świata, staje się Głowa Kościoła samodzielnym panem i władcą ziemskim.

Państwo kościelne ma swe uzasadnienie przedewszystkiem w historji.

Po blisko trzystu latach prześladowań chrześcijaństwa za czasów rzymskich, cesarz Konstantyn ogłasza edykt medjolański, mocą którego daje wolność wyznaniu Chrystusa. Stolicę państwa rzymskiego przenosi z Rzymu do Konstantynopola, zwanego podówczas Bizancjum.

W Rzymie pozostaje sam papież. Wobec coraz większej słabości cesarzy rzymskich, siedzących w dalekim Konstantynopolu, papież staje się jakoby drugim władcą, starającym się istotnie i jedynie o dobrobyt i obronę ludu rzymskiego. Powagę jego podnosi mniemanie ludu, które uważa go za prawowitego następcę na światowładnym Rzymie, tem bardziej, że późniejsi cesarze wschodnio-rzymscy nietylko się zupełnie nie troszczą o Rzym, ale go jeszcze okradają i rabują. Powaga ta rośnie, kiedy po podzieleniu olbrzymiego państwa rzymskiego na część wschodnią i zachodnią — część zachodnia upada i zaczynają się na Rzym, w pojęciu dzisiejszych Włoch, najazdy szczepów germańskich podczas wędrówki ludów. Ludność rzymska, której kraj i mienie pustoszą niecywilizowane ludy, zasługujące nieraz na miano hord — ucieka się pod opiekuńcze skrzydła białego płaszcza Ojca św., który niejednokrotnie powagą swą potrafi lud ten skutecznie obronić. To też sypią się dary do stóp Stolicy świętej, jako tak zwane Patrimonium S. Petri — czyli „dziedzictwo św. Piotra“ — więc nie

osobie Ojca św. jako takiemu, ale Stolicy św. Następują więc zapisy ziem i posiadłości w postaci darów i legatów testamentowych. Ilość ich wzrosła do rozmiarów olbrzymich — obszar ich przekracza wielokrotnie największe we Włoszech posiadłości ziemskie. Wszystkie te dobra i ziemie oddane są Stolicy Piotrowej na własność prywatną — jednak bez wykonywania nad niemi władzy rządzącej, to jest władzy panującego.

Dopiero król Franków Pepin Mały w r. 754 zapisuje Stolicy świętej i oddaje pod panowanie niezawisłe dobra i ziemie. I od tego roku datuje właściwe państwo kościelne. Dwa lata później Pepin posiadłości te jeszcze rozszerza. Oba te dary Pepina były wykonaniem ślubów, które tenże uczynił przed decydującemi bitwami, które przyniosły mu walne zwycięstwa. Był w tem więc jakoby palec Boży.

W r. 781 Karol Wielki, król Franków, następca Pepina Małego, koronowany przez papieża na cesarza rzymskiego, dary dane Stolicy św. przez ojca całkowicie potwierdza wraz z niezależnem panowaniem nad temi ziemiami.

Tak samo potwierdza akty te następca tegoż, Ludwik, król Franków w r. 816/17.

Cesarze rzymscy narodu niemieckiego nie omieszkali posiadłości tych tak samo uznawać, że wspomnę tylko dekret w tej myśli Rudolfa Habsburga w r. 1279 dla Grzegorza X.

Obszar państwa kościelnego w ciągu wieków to powiększał się, to się zmniejszał, aż osiągnął w ostatnich czasach przed swojem zaborem, obszar 214 mil kwadratowych i przeszło miljon siedemset tysięcy ludności.

Tymczasem Włochy rozpadły się na drobne kraje i kraiki w ciągu wieków, nieraz zażarte boje między sobą prowadzące.

W XIX wieku powstał ruch narodowy we Włoszech, dążący do zjednoczenia tych wszystkich państewek w jedno potężne państwo. Wiktor Emanuel, władca Sabaudji, jednego z tych państw, stanął na czele tego ruchu i ze zwycięskiemi swojemi wojskami zdobywał ziemię po ziemi, kraj po kraju — wszędzie wypędzając niedołężnych władców, sam czyniąc się jedynym panem Włoch. Na Rzym wskazały ówczesne umysły jako na przyszłą stolicę Włoch. Tu jednak było na przeszkodzie Państwo Kościelne. Wojska włoskie nie zawahały się jednak wkroczyć w posiadłość i własność św. Piotra. Niebawem wojska papieskie pod naporem sił przeważających zamknęły się w Rzymie. Wtedy jednak — ówczesny papież Pius IX rozkazał, chcąc zapobiec rozlewowi krwi — miasto napastnikom oddać. I tak dnia 20 września 1870 r. wojska włoskie wkroczyły do stolicy św. Piotra w Rzymie. Papież wraz z resztą sobie oddanych cofnął się do ogrodów watykańskich.

Świętokradzki zaborca Rzymu natychmiast zarządził wśród mieszkańców Wiecznego Miasta plebiscyt, czy chcą należeć do Włoch, czy do papieża. Plebiscyt ten urządzono z niebywałym

pośpiechem, już w dniu 2 października tegoż roku, a więc niespełna w dwa tygodnie po zaborze Rzymu, i dał wynik taki: za papieżem oddano głosów 1607, a przeciw aż 167 000. Jest rzeczą zrozumiałą, że olbrzymia część ludności nie głosowała wcale, uważając zabór za bezprawie, a dalej, że jak każdy plebiscyt, zrobiony zresztą tak prędko, jak się tylko dało, prawie pod presją, mógł być nielada fałszowany. Wszak przykłady tego mieliśmy i na Warmji, Mazurach, jak i na Śląsku.

Na podstawie tak korzystnego dla Włoch wyniku głosowania, król Wiktor Emanuel ogłosił wcielenie Państwa Kościelnego do państwa włoskiego, a miasto Rzym ogłosił stolicą Włoch. Na gwałt ten odpowiedział Ojciec św. klątwą, którą rzucił na wszystkich jego sprawców.

Tymczasem rząd włoski starał się, jak tylko mógł, pokazać światu, że mimo gwałtu, zadanego Głowie Kościoła, szanuje urząd papieski i chce dać pełne bezpieczeństwo i niezależność w wykonywaniu go. I oto ogłosił w maju 1871 roku ustawę, t. zw. edykt gwarancyjny, w którym orzekł, że osobę Ojca św. uważa tak samo za nietykalną, jak osobę króla, — oddawał dalej Watykan z ogrodami i gmachami i placami zamkniętemi na nienaruszalną „własność“ (nie zaś jako p a ń s t w o!), dawał w tych granicach papieżowi prawo do utrzymywania własnych straży i gwardji i zabezpieczał wolność obioru nowego papieża. Dalej pozostawiał rząd wolną rękę papieżowi na korespondencję z całym światem, a wreszcie posłowie papieża, jak i posłowie do papieża mieli korzystać z międzynarodowego prawa nietykalności. Król zrzekł się praw przy obiorze biskupów. Nakoniec skarb państwa miał wypłacać na utrzymanie papieżowi rentę w wysokości 3.225.000 lirów.

Ustawa ta była tem, czemby był policzek w twarz Ojcu św. Obliczona była na to, ażeby można było powiedzieć: „Tyle ci dajemy, a jeszcze ci za mało?“ Była to poprostu jałmużna dla „natręta“.

Ojciec św. zrozumiał intencję i ustawę tę odrzucił i ogłosił, że uznaje się za więźnia. Wszelkie próby ugody spełzły na niczem. Mimo to parlament uznał Rzym za stolicę Włoch, a król odprawił swój uroczysty wjazd do stolicy.

Ojciec św. dobrze i rozumnie postąpił, nie chcąc się zgodzić na ustępstwa. Gdyby był bowiem tak uczynił, powaga jego spadłaby w oczach narodów, co mogłoby naruszyć i powagę urzędu, który piastował. Stałby się papież jakby kapelanem państwa włoskiego, coby pociągnęło za sobą dla Kościoła skutki nieobliczalne: a więc odpadanie narodów od Kościoła, tworzenie kościołów narodowych, każdy z własnym papieżem oficjalnym na czele.

Tak tedy były między Watykanem a Włochami stosunki zerwane. Ojciec św. pieniędzy nie przyjął, utrzymując się odtąd z tak zwanego świętopietrza, t. j. składek na rzecz Ojca św.

Cierpiała Stolica św. stale przez rząd włoski szykanowana, bo Włochy nie zdobyły się nawet na szanowanie owej ustawy gwarancyjnej. I tak po śmierci Piusa IX zażądały władze wpisania tego zgonu do urzędu stanu cywilnego, jako zgonu obywatela Włoch, a późniejsze rządy masońskie Włoch nie ustawały w szykanach przeciw Ojcu św.

Stan ten trwał przez lat 58, aż za wolą Bożą zakończony został w ostatnich dniach podpisaniem układu między Stolicą Apostolską a państwem włoskiem, rozwiązującego pomyślnie i całkowicie sprawę państwa kościelnego — sprawę, którą nazywano „kwestją rzymską".

Crispi, wybitny mąż włoski, orzekł kiedyś, że ten, który tę kwestię potrafi rozwiązać, będzie „największym mężem polityki Włoch".

Tytuł ten pozyskał sobie Mussolini, dyktator i twórca dzisiejszych „wielkich Włoch". Przygotował on grunt pod ugodę z Watykanem i doprowadził do ostatecznej ugody.

W czasie swoich rządów Mussolini wprowadził napowrót do szkół krzyże i naukę religji, rozwiązał wrogie Kościołowi zrzeszenia masońskie, otoczył szacunkiem kościoły i urzędy kościelne.

Wreszcie potoczyły się w najgłębszej tajemnicy układy.

Za podstawę do rokowań przyjęto zasadę, że państwo włoskie uznaje krzywdę, wyrządzoną Głowie Kościoła, że ma najlepszą wolę naprawy tej krzywdy, dalej, że osobę Ojca św. uznaje za zupełnie niezależną i niepodległą nikomu, a więc także nie państwu włoskiemu. Na takie postawienie kwestji mógł się papież zgodzić. To też przy dobrej woli obu stron w niedługim czasie przystąpiono do podpisania układów. I tak dnia 11 lutego b. r. zeszli się przedstawiciele obu stron w pałacu lateraneńskim, by dokonać historycznego aktu o znaczeniu międzynarodowem pierwszorzędnem.

Podpisano trzy traktaty.

Pierwszy reguluje t. zw. kwestję rzymską. Daje papieżowi niezależne państwo, malutkie wprawdzie, bo z kilku placów, ulic i ogrodów się składające tylko, ale nikomu niepodległe. Państwo kościelne będzie nosiło nazwę „Citta del Vaticano", po polsku „Miasto Watykańskie". Policję obowiązuje się utrzymać rząd włoski, sądy nad zbrodniami sprawować będą na wyraźne zlecenie i przyzwolenie Stolicy św., sądy włoskie.

Co do wielkości swej nowe państwo kościelne nie da się w niczem porównać do dawnych posiadłości kościelnych. O to jednak nie chodzi. Chodzi o to samo, by Ojciec św. był uznany za niezależnego, udzielnego pana.

Drugi traktat podpisany — to konkordat, czyli unormowanie stosunków między państwem a Kościołem we Włoszech. Jest on bardzo podobny do konkordatu, zawartego między Stolicą św. a Polską.

Trzeci traktat załatwia kwestje pieniężne. Państwo włoskie obowiązuje się zapłacić Stolicy św. za wyrządzone przez zabór dawnego państwa kościelnego szkody około jednego miljarda lirów w gotówce, a 700.000 w papierach, co w złotych wyniesie mniej więcej 850.000.000. Pieniądze te zużyte będą na dzieła misyjne.

Tyle o treści traktatów przedostało się do wiadomości publicznej.

Trzy te dokumenty podpisali ze strony Ojca św. kardynał sekretarz stanu Gaspari, ze strony Włoch — Mussolini, stwierdzając równocześnie, że spór między Stolicą św. a państwiem włoskiem, czyli t. zw. „kwestja rzymska" zostaje tem samem ostatecznie załatwiona.

To radosne dla całego świata katolickiego zdarzenie ma znaczenie olbrzymie. Powaga papieska, która w ostatnich czasach tak niepomiernie wzrosła, podniesie się do ogromnych rozmiarów. Papież wchodzi do życia międzynarodowego — jako władca niezależny, a zdanie jego i wypowiedzenia tem skuteczniej wpływać będą na narody.

Kto nie może zrozumieć, dlaczego Ojcu św. potrzeba świeckiego państwa, niech rozważy:

Dusza działa w człowieku tylko przez ciało. Ciało jest więc narzędziem duszy. Sprawowanie rządu nad duszami, które ma polecone Namiestnik Chrystusowy, musi posługiwać się także narzędziami ludzkiemi. Potrzebuje więc do swej dyspozycji urządzeń technicznych, jak pocztę, telegraf i wszelkie inne środki komunikacji. Ażeby te narzędzia funkcjonowały bez przeszkód, były niezależne od wszelkich wpływów ubocznych, muszą one być własnością Stolicy św., z której będzie mogła każdej chwili nieograniczenie korzystać. Ponieważ te wszystkie urządzenia są urządzeniami państwowemi, więc są możliwe tylko w państwie, w którem władać będzie papież. Samo zaś władztwo nad duszami musi mieć znak widzialny. Tak, jak każdy z sakramentów ma k o n i e c z n y znak widzialny łaski niewidzialnej, tak i ten rząd dusz posiadać musi taki znak, a tym znakiem to niezależne państwo kościelne. Człowiek już jest takim, że co widzi i czego dotknąć się może, to tem łatwiej uzna.

Przez państwo niezależne więc narody tem chętniej i łatwiej uznają istotne władztwo Ojca św. — władztwo dusz.

Widzimy więc, że państwo kościelne jest nieodzownem dla Głowy chrześcijaństwa. Dziękować winniśmy Bogu, że dał nam doczekać radosnej chwili, gdzie sprawa ta znalazła pomyślne rozwiązanie.

W chwili tej, schylając kornie czoło przed Namiestnikiem Chrystusowym, Jego świątobliwością Piusem XI, który jest nam tak bliskim, bo kroczył po naszej polskiej ziemicy — zanośmy modły dziękczynne do Boga, a szczere, z głębi serca płynące powin-

szowanie do Piotrowego tronu. Wielki mąż na nim dziś zasiada. Roztropny i pełen głębokiej wiedzy i „nieustraszonej wiary“, jak mówi stara przepowiednia — wielkie rzeczy czyni. „Królestwo Chrystusowe“, które ogłosił w encyklice swej „Ubi arcano Dei“, zyskuje przez wskrzeszone państwo kościelne widzialne znamię. Naszem zadaniem — to głoszone przez Ojca św. królestwo budować udziałem w „akcji katolickiej“. To będzie najlepsze powinszowanie Ojcu św., do którego radość katolickiego serca i miłość ku Głowie Kościoła dziś nas rwie!

Matka — przyjaciel.

(Wykład dla matek.)

Znamy zapewne wszystkie potworną opowieść o starej matce, która daremnie stuka do drzwi wszystkich swoich dzieci, prosząc o dach i strawę. Dużo jest zresztą opowieści osnutych na tle stosunku niewdzięcznych dzieci do starych i opuszczonych rodziców. Więcej jeszcze takich przykładów brutalności dorosłego dziecka wobec matki czy ojca dostarcza nam samo życie. Są bowiem natury, pozbawione wszelkich szlachetnych porywów, natury, jakoby anormalne, zdolne do tego wołającego o pomstę do nieba znieważania tych, którzy dali im życie.

Nie o nich będziemy mówiły. Są to potworności, których — daj Boże — żadna z nas nie pozna.

Ale inny, podobny ból wśród matek. Grozi on każdej z nas, jeżeli nie będziemy umiały mu zapobiec całą skupioną silną wolą.

Na takiem cierpieniu bardzo wielkiej ilości matek skupimy dzisiaj naszą uwagę.

Otóż: dlaczego jest tak często wielka obcość serca między matką a dziećmi dorastającemi i dorosłemi; dlaczego np. tak często, a nawet zwykle córka tak starannie strzeże swych tajemnic przed matką, a pierwszej lepszej przyjaciółce otwiera swoje serce; dlaczego nie widzi syn w matce swej najwierniejszego przyjaciela i doradcy? Skąd ten mróz serca między tymi, którzy, zdaje się, powinni być sobie najbardziej blizcy w życiu?

Oto matka kilkorga dzieci dorosłych, pojmujących bardzo na serjo swoje i ich obowiązki, która pomimo to słusznie skarży się na wielką samotność serca. Odeszły od niej dzieci sercem i duchem i czeka ją smutna i samotna starość.

Oto druga, przed którą nieomal klęczą ze czcią i wdzięcznością dzieci, z którą omawiają z ufnością wszystkie swoje radości i smutki. Jej więdnącą twarz opromienia wyraz wielkiego szczęścia. Jakiego użyła ona czaru, by tak przywiązać do siebie dzieci swoje?

Przypomnijmy sobie chwile, kiedy tuliłyśmy do serca niemowlę. Tego wielkiego szczęścia owych dni nie rozumie nikt,

kto sam matką nie był. Leżało ono w naszem ramieniu takie maleńkie, bezbronne, zupełnie od matki zależne — takie moje, zupełnie moje! Czuło się wtenczas zupełną harmonję i zupełną jedność — była to własność moja. Ta świadomość zależności dziecięcia od matki i tego uszczęśliwiającego zjednoczenia dwojga serc trwa jeszcze, kiedy ono bawi się niezgrabnemi a tak wdzięcznemi ruchami u naszych stóp i zachwyca nas słodkim szczebiotem. Lecz chociaż nas to wszystko tak bardzo uszczęśliwia, pragniemy jednak przyspieszyć przyszłość i marzymy z dumą o tem, jak to będzie, gdy ono urośnie, a w marzeniach naszych widzimy je zawsze jednakowo uległe, zależne, własne. Sama rzeczywistość zaś rozwiewa nasze śliczne sny. Między matką a dzieckiem staje bardzo dużo: szkoła, koledzy, książki, nowe myśli i prądy — słowem, wszystko to, co wpływa na dziecko, gdy je z pod swej wyłącznej opieki wypuszczamy. A oto odrazu zauważamy z bólem, że dziecko odeszło duchowo od nas i że straciliśmy wszelki wpływ na nie. Gdy widzimy więc jakieś grożące mu niebezpieczeństwo i pragniemy powstrzymać je od zgubnych kroków, czujemy, że nasz wysiłek daremny, bo ono przestrogi naszej nie usłucha. A gdy same w chwilach smutku i samotności szukamy u niego serdeczności, zrozumienia, pokrzepienia, nie możemy jakoś trafić sercem do serca, zerwała się ta serdeczna nić — obco jest i chłodno — tu i tam.

Dlaczego?

Zdaje się, że pierwszy błąd był ten, że uważało się dziecię za swoją własność. Prawda, że dałyśmy mu życie, karmiły je własną krwią, uczyniły jego biedne bezbronne ciałko zdolnem do życia, rodziły je z bólem. Tem wszystkiem jednak nie kupiłyśmy jeszcze jego duszy, która jest wolna, niezależna od nas i zależna tylko od Boga. Dlatego też nie wolno narzucać mu siebie. To nie znaczy bynajmniej, by nie żądać od niego posłuszeństwa wogóle. Dziecko musi być posłuszne naszym rozkazom, inaczej nie nauczy się słuchać praw życia. Później będzie ono sobie samo nakazywało i zakazywało, i gdy będzie miało słuchać swej własnej woli, będzie się nazywało, że ma silną wolę. Ale tego posłuszeństwa uczy się w rodzinie. Tylko nasza władza rozkazywania mu ma swoje granice. Dusza dziecka rozwija się bowiem według własnych praw, które powinniśmy uszanować. Znam np. matkę bardzo ambitną, która koniecznie chce z syna swego mieć najlepszego ucznia, podczas kiedy chłopak ma ochotę i zdolności do rzemiosła. Toż to Pan Bóg daje powołanie, a nie my. A czyż nie ma dosyć przykładów tego, jak rodzice do obrania stanu duchownego zmusili syna, albo też zakazali córce wstąpić do klasztoru? Czy możemy się dziwić obcości między dzieckiem a rodzicami, jeżeli ci ostatni tak krępują je w tem, co jest jego najświętszem prawem? Gdy wydajemy rozkazy, nie wolno nam pomyśleć: słuchaj, bo ja tak chcę, bo ja matka, bo ci dałam życie i utrzymuję życie. Ale trzeba powiedzieć sobie: słuchaj, bo

w posłuszeństwie szczęście twoje; ja rozkazuję, aby cię ustrzec, aby ci dobrze zrobić, bo na nadewszystko pragnę twego ziemskiego i wiekuistego szczęścia. Zapamiętajmy sobie to dobrze: dziecko nie jest własnością naszą; oddane zostało nam tylko na pewien czas, pod opiekę, a po niedługim czasie kończy się wogóle nasze prawo — nie, nasz obowiązek — rozkazywania. Nie wolno nam też chować w ten sposób dziecka dla siebie, że widzimy w wysiłkach, złożonych na jego wychowanie, rodzaj premji, płaconej do ubezpieczalni na starość i ubóstwo. Pewno, że dobre dziecko będzie w razie potrzeby w starości utrzymywało rodziców, ale nie wolno zmusić jego do tego lub owego zawodu, z którego dla nas najwięcej zysku będzie. Kochajmy je tylko prawdziwie, dążąc do jego własnego szczęścia, a nie szukając własnego zadowolenia, wolne od samolubstwa i zapełnione pragnieniem szczęścia dziecka serce matczyne wskaże nam właściwą drogę.

Najgłębszą i najboleśniejszą przepaść między matką a dzieckiem widziałam tam, gdzie ono matki czcić nie mogło. Dziw, jak surowym sędzią jest dziecko mimowoli dla rodziców. U obcych łatwiej tłomaczy i wyrozumiewa. Błędy u rodziców zaś ocenią bezlitośnie. Może dlatego, że temi błędami ono samo zostaje skrzywdzone. — W duszy ma przecież każdy z nas, ma zwłaszcza dziecko nieskalany święty obraz macierzyństwa. Jeżeli obraz matki własnej zbyt daleko odbiega od tego wzoru, cierpi dziecko ogromnie, prędzej czy później uświadamia sobie powód tego cierpienia i otacza się murem, za którym buduje sobie swój własny świat myśli, do którego matki nie dopuszcza, bo uważa ją niegodną. Całą duszą dażmy więc do świętości. Bądźmy niesłychanie obowiązkowe. Bądźmy czyste na ciele i na duszy. Zachowanie się nasze powinno być mimo całej wesołości i swobody i naturalności zawsze godne, ubiór skromny, sposób wyrażania się przyzwoity. Dziecko, nieraz całkiem nieświadomie, pragnie móc klęczeć przed matką, pragnie oprzeć się o jej siłę moralną. Ono nie zdaje sobie sprawy z tego, czy matka jest szlachetna. Dziecko jest także bardzo wrażliwe na to, jak inni matkę oceniają. Tak samo, jak wstydzi się naszego brudnego i podartego ubrania, wstydzi się, gdy się brzydko i ordynarnie wyrażamy, a uszczęśliwione jest, gdy widzi, że odnoszą się do nas z szacunkiem lub chwalą nas ludzie.

Ono pragnie gorąco móc czcić nas, a gdy jesteśmy niegodne jego szacunku, cierpi bardzo i czuje żal tak głęboki, że nie dałyśmy mu tego szczęścia, choć mogłyśmy je dać. Później, gdy dorośnie i dojrzeje i pozna słabość duszy ludzkiej, to może i naszą słabość wyrozumie i w najlepszym wypadku zachowa dla nas litość. Ale tego serdecznego obcowania między matką a dzieckiem nie będzie już nigdy.

Za mało zajmujemy się także duszą naszego dziecka. Uważamy się zwykle za dobre matki, jeżeli dziecko nasze chodzi czysto i porządnie ubrane, jest różowe i dobrze na-

karmione, jest umyte i ma zawsze czystą pościel. I na pracach naokoło tego wszystkiego schodzi nam dzień, a dusza dziecka chodzi samopas. Niespodziewanie zupełnie spostrzegamy błędy, które powstały niewiadomo skąd i kiedy. Pewna mądra wychowawczyni powiedziała, że jeżeli matka nie znajduje wieczorem przed snem pół godziny czasu, aby pogadać z chłopcem o jego przygodach z nowym latawcem, albo o tym zepsutym samochodzie Franka z kamienicy obok i tych wszystkich wielkich zdarzeniach jego życia dziecięcego, oddali się niebawem od niego i powstanie między nimi obcość. Ja myślę, że jeszcze czegoś więcej trzeba. Czyż często zdarza się, że dzieci opowiadają matce o tem, jak to było w szkole i o zabawie na podwórzu i o wszystkiem innem, czem małe serduszka tak przepełnione? Poco! Przecież mama ma zawsze tak mało czasu, nie słucha wcale, albo niecierpliwi się i wygania precz! Naturalnie! Mamie nie mówi się o tem wszystkiem, ba mama ma tak mało czasu.

Och! obyśmy znalazły ten czas.

Czyż to nie słodko, być przyjaciółką i powiernicą swego dziecka? Dziś są może jeszcze jego wynurzenia mało zajmujące, ale przyjdzie czas, kiedy będzie nam dużo zależało na zaufaniu naszego dziecka, i od tego jego zaufania do nas będzie wiele zależało w jego życiu.

Powinniśmy zainteresować się także książkami, które dziecko czyta. Trudno będzie może, przeczytać je wszystkie samemu. Ale niech nam o nich opowiada. Wszystkie obrazy i myśli zaczerpnięte z nich kształtują jego duszę, a powinniśmy przecież wiedzieć o zmianach, które w niej zachodzą. Powinniśmy znać je. Zapoznajmy się z tą panią w szkole, która dziecko w tym roku uczy. Poznawajmy kolegów, z którymi się najczęściej styka, zapraszajmy ich do siebie, bądźmy i dla nich serdeczne i życzliwe. Słowem: idźmy ślad w ślad za duszą dziecka, żeby się nam nie wymknęła i żebyśmy nie odnalazły jej za późno, zmienioną i obcą.

W codziennem obcowaniu nie trzeba lekceważyć dziecka i jego dziecinnej głupoty. Zwykle odpędzamy je, gdy nas zaczyna męczyć swemi pytaniami, albo w najlepszym wypadku odpowiadamy byle czem, byle zbyć. Bardzo na serjo powinniśmy brać jego pytanka, wysłuchać cierpliwie, odpowiadać poważnie. Powinno ono odczuć w nas pewien szacunek dla siebie. Ono wtenczas takie dumne i wdzięczne i będzie się starało być godne tego szacunku i zawsze będzie wiedziało, dokąd ma zwrócić się z całem zaufaniem: matka się nie wyśmiewa i nie jest pogardliwa; matka, to wierny przyjaciel. Nasz szacunek dla dziecka powinien wyrażać się także w uprzejmem zachowaniu się wobec niego. Dlaczego np. nie przepraszamy dziecka, jeżeli uraziłyśmy je mimowoli, lub sturchnęły niechcąco? Dlaczego uważamy, że na dziecko można krzyczeć, lub można uderzyć je w twarz? Jeżeli własna matka tak boleśnie uraża jego po-

czucie własnej godności, czyż możemy się dziwić, że zacznie odwracać się od niej?

Starajmy się wreszcie, by dziecku było dobrze z nami. Jak kwiat do słońca, tak tęskni dusza dziecięca za wesołością w otoczeniu. Bądźmy więc, o ile nas stać na to, pogodne i radosne. Poco chodzić, gderając cały dzień? Poco za lada przykrość wylewać żółć swoją na całe otoczenie? Wtedy dziecko stuli swą wrażliwą duszyczkę, jak kwiat przed pierwszym mrozem. Bać będzie się matki. A nie powinno się bać, tylko kochać i ufać i widzieć w matce najwierniejszego, najżyczliwszego, najbardziej oddanego przyjaciela.

Mówiłyśmy o tem, jak to matka powinna iść ślad w ślad za duszą dziecka w jej rozwoju, by nie stracić jej z oczu. Prócz tego powinna jeszcze stać się jemu potrzebna, jako ta, która wskaże mu bezpieczne drogi przez życie i na nich poprowadzi. Jakże dobrze, jeżeli serce dziecięce tuż przy matczynem bije w miłości dla Tego, który kochał nas aż do śmierci! Albo gdy dziecię klęczy przy matce, oboje zatopieni w modlitwie, tej wielkiej mocy, torującej nam ścieżkę poprzez ciernie życia, pokonywującą własną niemoc słabej duszy! Albo wreszcie, gdy dziecko czuje, jak matka jako anioł-opiekun roztacza skrzydła, chroniąc miłośnie przed upadkiem, przed błotem, przed przepaścią. Gdy od zarania życia przez tyle lat serce dziecka biło zgodnie z matczynem w bólu, radości i miłości, nie oderwie się tak łatwo od niego, i nie pójdzie na bezdroża za złymi kolegami.

Taki więc, siostry drogie, czeka nas trud, gdy chcemy, by dzieci nasze nie oddalały się od nas, sercem i umysłem; gdy nie chcemy, by starość nasza była samotna, gdy chcemy być przyjacielem wiernie służącym najdroższym radą i czynem do ostatniego tchu.

Im większa miłość do dziecka, tem więcej sił do tego trudu i poświęcenia z niej zaczerpniemy — a im wiara nasza silniejsza, tem więcej sił uzyskamy z modlitwy dla urzeczywistnienia tak trudnych zadań.

W. Sobkowiak.

SMP — przednia straż katolicyzmu.

(Wykład dla młodzieży.)

Jesteśmy katolikami! Musimy sobie to głęboko uświadomić i mocno w sobie utwierdzić. Pierwsze i najważniejsze hasło według ustaw Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej brzmi: „Żyj według zasad wiary, broń religji i Kościoła katolickiego!“ Temu hasłu podporządkowane są inne, z niego wynikają. Kto bowiem będzie zawsze wzorowym, głęboko wierzącym, praktykującym katolikiem, jak nazywa się tych, którzy spełniają przykazania Boże

i przepisy Kościoła, ten będzie dobrym, miłującym ojczyznę swą Polakiem, dzielnym, pojmującym obowiązki swoje obywatelem państwa, ten będzie sumiennym, rzetelnym pracownikiem, ten będzie serce swoje szeroko otwierał dla miłości bliźnich.

Przykazania Boże i nauka Kościoła obejmują tak szeroko wszystkie obowiązki człowieka, że nie trzeba się nawet uciekać do innych praw, innych ustaw, a z nich czerpać wszelkie wskazówki, w nich szukać prawdy, sprawiedliwości.

To też Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej stając twardo i mocno na gruncie katolickim, obrały najlepszą podstawę, najtrwalszy fundament dla swej pracy. Czerpią bowiem prosto ze źródła, jakiem jest wiara nasza, najlepszą podnietę, najlepsze siły do życia.

Na czem jednak polega katolicyzm nasz, który w Stowarzyszeniach Młodzieży Polskiej głosimy? Czy wystarczy, jeżeli powiemy, że Stowarzyszenia nasze łączą ludzi, którzy przyjęli chrzest i tem samem nazywają się katolikami, że wyznający inną religję nie mają do nas wstępu? Nie, Druhowie, nie każdy, kto dzieckiem chrzest przyjął, zasługuje na miano prawdziwego katolika. Życie jego dopiero wykaże, i czyny, czy można go takim nazwać.

Opowiem Wam w tem miejscu historję, napisaną przez jednego z poetów. Pewien bogacz, żyjący na Wschodzie, miał bardzo kosztowny pierścień. W pierścieniu tym oprawiony był opal, drogi kamień, mieniący się wszystkiemi kolorami. Mówiono, że to kamień zaczarowany, i że ktokolwiek nosił go na palcu, stawał się dobrym i zyskiwał miłość wszystkich. Bogacz dał go swemu ulubionemu synowi i polecił mu, by czując bliską śmierć, dał go znowu temu z dzieci, które najbardziej ukocha. W ten sposób pierścień przechodził z pokolenia na pokolenie, aż otrzymał go człowiek, który miał trzech synów. Wszystkich narówni bardzo kochał i każdego z nich chciałby uszczęśliwić, dając pierścień o tak cudownych właściwościach. Dobry ojciec był w wielkim kłopocie, jak tego dokonać. Znalazł jednak sposób. Poprosił zdolnego złotnika, słynnego ze sztuki obrabiania kamieni, by zrobił dwa pierścienie, zupełnie podobne do tego, który odziedziczył. Gdy ujrzał je wykonane, niczem się nie różniły od siebie, że sam nawet nie poznał, który był prawdziwy, co takie dobrodziejstwa właścicielowi przynosił. Leżąc na łożu śmierci, kolejno wzywał do siebie synów. Każdego równie serdecznie pobłogosławił, i równie gorąco żegnał, zapewniając o swej miłości i każdemu wręczył pierścień czarowny, który miał uszlachetniać serce.

Gdy umarł i został pochowany, wtedy jeden z synów ukazał braciom swój pierścień, dumny i uradowany, że on go odziedziczył. Zdziwili się wszyscy, skoro okazało się, że każdy z braci miał ów sławny rodzinny pierścień, a każdy z braci twierdził, że jego jest prawdziwy. Długi spór zawiódł ich przed sędziego, którego prosili o rozstrzygnięcie, który z nich ma prawdziwy pier-

ścień, który z braci więc ma być uważany za głowę rodu i cześć należną od innych odbierać.

Sędzia po długim namyśle rzekł: „Nie umiem ocenić, który z klejnotów jest prawdziwy, lecz najlepiej przekonacie się o tem sami. Jeżeli bowiem prawdą jest, że pierścień czyni dobrym charakter człowieka, który go nosi, wtedy wszyscy poznają po szlachetnem życiu, który z was ma prawdziwy pierścień. A zatem powróćcie do swoich domów i zaprzestańcie sporu, a bądźcie dobrzy, rzetelni, sprawiedliwi i szlachetni, a który przewyższy w tem swych braci, ten okaże się właścicielem prawdziwego klejnotu."

Taki klejnot drogocenny posiada każdy z nas — to imię katolika, to przynależność nasza do jedynie prawdziwego Kościoła katolickiego, to ta wiara w Jedynego Boga, którą w sercach naszych nosimy i która czyni nas szlachetnymi, dobrymi. Wiara nasza, miłość do Boga sprowadza na nas niezliczone łaski i dobrodziejstwa Boże, czyni nas wybranymi z pośród ludzi jako posiadaczy jedynego, prawdziwego klejnotu, jakim jest religja katolicka.

Wielu jednak jest takich, którzy również głoszą, że posiadają ów cudowny skarb, wielu mieni się być katolikami, choć ich życie nie idzie po drodze wskazanej przez Boga. Oni nie posiadają głębokiej wiary, prawdziwego przekonania katolickiego, prawdziwego klejnotu też nie mają. Ten bowiem poznać po tem, że naokoło siebie dobro i piękno roztacza, zyskuje miłość i szacunek wszystkich ludzi.

Dużo jest takich ludzi, którzy nie przyznają się do jakiejkolwiek religji, którzy nie wierzą w Boga. Więcej jednak jest takich, którzy mówią, że są katolikami, jednak w rzeczach wiary są zupełnie obojętni, nie żyją tak, jak ona nakazuje, nie spełniają wszystkich obowiązków, gotowi nawet zaprzeć się swoich przekonań, gdyby tego wymagały okoliczności lub korzyści. Tacy obojętni katolicy, to najwięksi wrogowie Kościoła katolickiego. Oni najwięcej szkodzą, bo nie przynoszą dobrego imienia ani zaszczytu Kościołowi, lecz wstyd i szkodę. Religja nasza potrzebuje ludzi silnych przekonaniami i wiarą, katolików czynu, którzy zawsze gotowi są bronić zasad swych i zawsze śmiało, odważnie, bez wstydu i obawy do nich się przyznają, którzy potrafią je szerzyć wokół siebie, być apostołami swej religji.

Takich katolików — rycerzy i apostołów ma wychować Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. To jest naczelne jego zadanie.

Powiedziałby niejeden: Czy nie mało jest stowarzyszeń religijnych i bractw, które religijne życie wśród swych członków wyrabiają? Nie bractwem religijnem jest nasze Stowarzyszenie. Ono ma wychowywać dla religji, dla Boga w bezpośredniem zetknięciu z życiem. Nie mamy od życia uciekać, zamykać się na pokornej modlitwie z wzniesionem w niebo obliczem. Tak ckliwe, miękkie charaktery robią. Katolicyzm potrzebuje ludzi, którzy w szarem, codziennem życiu nie zapominają o tem, że są powołani do

wielkiej roli szerzenia Królestwa Bożego na ziemi, którzy pracę swoją codzienną pojmują jako pracę dla chwały Bożej.

Niedawno jeszcze wszyscy czytywaliśmy w gazetach o prześladowaniach w Meksyku. Czytaliśmy nieraz opowiadania straszne i zgrozą przejmujące, a oświecały je jak gwiazdy bohaterstwa tych licznych męczenników za wiarę, dla których najdroższem hasłem, za które życie dawali, to hasło: Niech żyje Chrystus-Król! Trudno zrozumieć, jak mogło dojść do takich prześladowań w kraju, w którym katolicy mają olbrzymią większość i liczą przeszło 95% ludności. A jednak przyszło do tego.

Gdy katolicy obojętnie i spokojnie zasypiali, do kraju przychodzili przeróżni sekciarze, którzy rozpoczęli walkę z duchowieństwem i wiernymi. Te sekty dobrze zorganizowane, rozporządzające olbrzymiemi środkami pieniężnemi, rozpanoszyły się w całym kraju, otworzyły setki szkół, przytułków, ognisk, gdzie młodzieży nieświadomej sączyło się do serc jad niewiary, nienawiści do Kościoła. Dziwna rzecz, katolicy nie stawiali wielkiego oporu, nie byli zupełnie zorganizowani. Katolików było coraz więcej z imienia, a między nimi dużo zawiści, zazdrości, nienawiści, partyjnictwa, a przedewszystkiem brak miłości bliźniego. Oto, co sprowadziło prześladowania. Nie spostrzegli się meksykańscy katolicy, jak wypędzono z kraju duchowieństwo, zamknięto kościoły, kazano się im wyrzec Boga. W walkach ulegli, zdobywając się tylko na bohaterstwo i poświęcenie. Nie było tam siły, nie było zorganizowanego wysiłku.

Do walki ze złem trzeba długiej, planowej, zorganizowanej pracy. Tą pracą, zmierzającą do stworzenia nowego typu katolika, czynnego, bojowego, co nie czeka, aż go napadną, lecz sam idzie śmiało przeciw złu, by je zgnieść, takiego katolika ma wychować Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. Wy, Druhowie kochani, macie być tą armją Chrystusową, tą przednią strażą Kościoła katolickiego.

W jaki sposób chce to wielkie zadanie swoje spełnić nasze Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej?

Wielki mędrzec starożytności powiedział mądre słowa: „Poznaj samego siebie". Otóż my, Druhowie, mamy zaczynać poprawę od samych siebie, mamy poznać samych siebie, aby wiedzieć, co w nas jeszcze tkwi złego, co poprawić trzeba.

To osobiste życie religijne wyrabia w nas Stowarzyszenie, nakazując wspólne odbywanie praktyk religijnych, jak przystępowanie do sakramentów św., rekolekcje. Obok całego szeregu innych rzeczy, te leżą również w naszym planie. Mamy uszlachetniać swoje życie. Nieraz, w młodym wieku szczególnie spadają na was, Druhowie, różne pokusy, które ciągną do złego, do nieodpowiedniej a miłej w pierwszej chwili zabawy, niegodziwej rozrywki, nieraz zdrożne, nieprzyzwoite chęci biorą górę. Młodzi nie mają jeszcze tej siły, tego hartu duszy, woli, żeby im się oprzeć,

przeciwstawić, żeby pokusy te precz odpędzić, a dać miejsce szlachetnym, zdrowym myślom.

Tutaj przyjdzie wam z pomocą Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. Ono zajmie wam czas zdrowym sportem, który rozwija ciało i czyni je odporniejszem przeciwko różnym pokusom. W chwilach wolnych, niezajętych pracą, kiedy to najłatwiej przystęp mają do człowieka różne niepotrzebne a grzeszne myśli, wyciągnie was na zebranie, gdzie uwagę waszą zwróci na inne rzeczy pożyteczne dla umysłu, rozumu waszego. Inny raz, gdy pociągnęłaby was samopas pędzących życie, zabawa nieprzyzwoita, w złem gronie zepsutych kolegów, Stowarzyszenie każe wam iść do ogniska, lub na wieczornicę, gdzie na miłej a zdrowej rozrywce spędzicie wieczór.

Stowarzyszenie nie pozwala wam trwonić pieniędzy, a każe oszczędzać i pracować, abyście mogli opłacić składki, zaabonować gazetę, kupić książki, potrzebne do gier sprzęty i t. p.

Stowarzyszenie kształci w Was szlachetne cechy charakteru, które muszą cechować każdego katolika. Przedewszystkiem ofiarność i poświęcenie. Te cechy takie wielkie, a dziś bardzo rzadkie, posiadali ci wszyscy mali bohaterowie w Meksyku, wśród których niejeden wyrobił je sobie, w takich, jak nasze Stowarzyszeniu Młodzieży.

Przykazanie Boże nakazuje mówić prawdę. Czyż nie uczymy się tej cechy i nie przyzwyczajamy się do prawdomówności, słowności w Stowarzyszeniu? Wszyscy druhowie żyją wspólnie, we wzajemnem zaufaniu do siebie. Każdy widzi, co drugi robi. Kłamać nie wolno nikomu, bo ośmieszyłby się, stracił poważanie u innych. Człowiek dobry nie splami swych ust fałszem, nie skłamie dla zabawy, uczciwy nie kłamie dla zysku, rozsądny nie kłamie przez próżność, odważny zaś nie kłamie z obawy. Nieraz kłamstwo dla żartu, dla zabawy powiedziane, dużo szkody zrobić może, jak o tem dowiecie się z historyjki.

Pewien pastuszek pasł owce na ugorze. Razu jednego zaczął krzyczeć przeraźliwym głosem: „Wilki! wilki!“ Zbiegli się wieśniacy ze wsi, słysząc jego wołanie o ratunek; a gdy nadbiegli z cepami i widłami, zastali pastuszka śmiejącego się do rozpuku, że ich wywiódł w pole. Wkrótce ponownie zabawił się takim żartem i znowu śmiał się z ludzi, gdy jemu na ratunek biegli. Gdy jednak wkońcu zdarzyło się, że wilk naprawdę napadł na jego trzodę, już mu nie uwierzono. Wieśniacy śmiali się, słysząc jego wołanie i nikt na pomoc nie przybył.

Stowarzyszenie uczy być dobrym dla drugich, uprzejmym, towarzyskim, grzecznym. Przedewszystkiem zaś wyrabia najważniejsze cechy katolika czynu, bojownika dobrej i wielkiej sprawy — siłę woli, stałość, odwagę, siłę przekonania. Nie jak trzcina, co za lada podmuchem wiatru w inną stronę się gnie, mamy być, lecz twardo i mocno stać trzeba przy raz obranej drodze i dla wytkniętego sobie celu pracować. Nieraz w Stowarzyszeniu naszem

musimy zniechęcenie pokonać, gdy trudności różne się nastręczają. To wyrabia w nas siłę i wytrwałość.

Takie ważne cechy ducha i charakteru musi mieć każdy katolik, który chce, by duch Chrystusowy wszędzie panował, który chce go szerzyć. Bo nieraz przyjdzie mu walczyć ze złem, nieraz przyjdzie przeciwstawiać się, czy to agitacji wrogów Kościoła, czy zepsuciu innych, wtedy będzie musiał okazać odwagę wypowiedzenia swoich przekonań. A przecież wy, druhowie, chcecie być tacy odważni, chcecie być takimi katolikami, nie z imienia, lecz z czynu. Czekajcie — nieraz jeszcze w życiu będziecie mogli czyn swój pokazać. Teraz przygotowujcie się do tego w naszych Stowarzyszeniach.

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej wyrabia bardzo ważną zaletę katolika — apostolstwo. Każda wielka idea, to ma do siebie, że musi promieniować nazewnątrz, naokoło siebie. Jeżeli w nas, młodzi druhowie, jest to wielkie umiłowanie naszej roli, ukochanie naszej świętej wiary, to musi ono nazewnątrz się objawiać, na otoczenie nasze, współtowarzyszy, rodzinę i rodzeństwo. Wszędzie nakoło musimy szerzyć prawdy i zasady, które wyznajemy. Jak często mamy do tego sposobność w rodzinie, przez dobry przykład, pociągając za sobą młodsze, a nawet często i starsze rodzeństwo. Bądźmy zawsze dobrzy dla rodziców, dla sióstr i braci, a spełnimy przykazanie Boże. Nieraz przy pracy mamy okazję, by pouczyć towarzyszy, którzy niewłaściwie postępują lub nieprzyzwoicie się zabawiają. I tutaj często więcej znaczy dobry przykład, wzór, niż słowo. Lecz nie szczędźcie słów, gdy trzeba, lecz odważnie wypowiedzcie swoje zdanie. Może początkowo pobudzi to śmiech i docinki, jednak zczasem śmiałość wasza i pewność siebie zjedna wam szacunek i przyjaciół. Spełńcie rolę apostoła, nawracając tych, którzy zbaczaja, na dobrą drogę.

Doskonały przykład dało jedno z naszych Stowarzyszeń. Na zebraniu delegatów w okręgu ustalono urządzenie zawodów sportowych na jedną z niedziel. Wszyscy się godzą. Śmiało wstaje jednak prezes Stowarzyszenia, które miało najlepszych zawodników i mówi: „Niestety my nie weźmiemy udziału w zawodach, gdyż w naszej parafji jest popołudniu zebranie Bractwa różańcowego. Nasi druhowie wszyscy do Bractwa należą, więc muszą tam spełnić swój obowiązek.“ Podziw i szacunek u wszystkich wzbudził ten odważny druh, co przeciwstawił się wszystkim. Oczywiście, gdy był tak ważny powód, zmieniono termin zawodów.

Druhowie, w podobnych okolicznościach nie wstydźcie się tego, że jesteście katolikami, że chodzicie do kościoła, do sakramentów świętych, lecz czyńcie to otwarcie, jawnie.

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej wychowanie religijne swoich członków rozumie też jako wykształcenie religijne. Kto chce walczyć, działać w imię jakiej prawdy, musi ją poznać, zgłę-

bić. Dlatego w Stowarzyszeniu możemy uzupełnić swoje wiadomości religijne i przekonać się o wielkiej i świętej prawdzie, jaką zawiera nauka Kościoła. W tym celu wygłasza się wykłady z dziedziny religijnej, zakłada się kółka religijne, w których nauczymy się dowodów różnych, aby bronić nauki katolickiej przed zarzutami niedowiarków.

Organizacja nasza, jak widzieliśmy, wszechstronnie przygotowuje młodzież do przyszłego życia, do służby ideałom katolickim — Bogu. Wielka rola na nas młodych spada, odrodzenia narodu, zepsutego wojną i zniechęconego nieszczęściami i pobudzenia go do nowego życia. To nowe życie musi przyjść z głębokiej wiary w Boga, który da — nam młodym — siły do pracy, odwagi do czynu, męstwa — do walki, abyśmy wszyscy w jednym zwartym, karnym i licznym szyku wyruszyli przeciwko złu, które tak bardzo jeszcze się panoszy.

Druhowie! bądźmy dumni z tego, że Bóg nas do szeregów Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej powołał. Stwórzmy z niego zakon przejętych duchem apostolstwa rycerzy Chrystusowych. Przyrzeknijmy wierność, wytrwanie i stałość w tej zaszczytnej służbie dla „Boga i Ojczyzny"... my, rycerze Chrystusowej Polski!

Dr. A. N.

Kwestja mieszkaniowa w Polsce i zagranicą.

Jednem z najgroźniejszych następstw wielkiej wojny jest niewątpliwie kwestja mieszkaniowa. Gdy inne rany, zadane ludzkości i cywilizacji przez tę najstraszniejszą z katastrof dziejowych, powoli zaczynają się już zabliźniać, kwestja mieszkaniowa nietylko, że nie traci na swej ostrości, ale przeciwnie, rozmiary tej klęski społecznej powiększają się jeszcze z roku na rok, przynajmniej w niektórych krajach, do których niestety i nasza Ojczyzna należy.

W jaki sposób powstała kwestja mieszkaniowa? Przed wojną zagadnienie to w dzisiejszej formie nie istniało zupełnie. Mieszkań było wszędzie poddostatkiem. Budowanie domów czynszowych stanowiło bowiem nader korzystne źródło dochodu. O kredyty było bardzo łatwo, a hipoteka budowlana uchodziła za jedną z najpewniejszych lokat kapitału. Ponieważ popyt na hipoteki był duży, a kapitałów w ciągu długich lat pokoju nagromadziło się bardzo dużo, więc i stopa procentowa była niska. W państwie niemieckiem wynosiła ona 3½—4% rocznie. I to było główną tajemnicą rozwoju ruchu budowlanego. Weźmy przykład. Pan A. posiadał plac budowlany i 20.000 marek gotówki. Na tej podstawie zaciągał on pierwszą hipotekę w wysokości 280.000

marek i stawiał dużą kamienicę, która kosztowała 300.000. O ile udało mu się wynająć wszystkie mieszkania, wtedy przynosiły one ogółem 20.000 mk. czynszu. Procentów od hipoteki p. A. płacił, licząc po 4%, rocznie 11.200 marek. Koszta centralnego ogrzewania, podatków, administracji itd. wynosiły około 4000 marek. Pozostał zysk 4800 marek; budowa była więc bez porównania lepszą lokatą kapitału, niż trzymanie go w banku, gdzie również więcej niż 4—5% nie płacono, czyli 800—1000 marek od 20.000. Naturalnie, że budowa domu oznaczała pewien kłopot i ryzyko, gdyż w razie niewynajęcia mieszkań właściciel mógł zbankrutować. Wprawdzie mógł on się jeszcze przez pewien czas ratować zaciągnięciem drugiej hipoteki, która oczywiście, jako mniej pewna, zawsze już była trudniejsza do zdobycia i droższa. W każdym razie jednak gospodarz bardzo musiał się starać o komfort i czystość w domu, by nie stracić lokatorów. Domy były więc dobrze utrzymane, naogół przynajmniej, a każdy mógł sobie łatwo wybrać odpowiednie dla siebie mieszkanie.

Te dobre czasy skończyły się po wielkiej wojnie. Złożył się na to cały szereg przyczyn. Przedewszystkiem ustał w ciągu czterech (a u nas w ciągu sześciu) lat wojny zupełnie wszelki ruch budowlany. Zabrakło rąk do pracy, i nikt nie chciał ryzykować swoich pieniędzy ze względu na niepewne stosunki. Zato ubyły setki tysięcy pomieszczeń. Olbrzymie części Europy uległy mniej lub więcej gruntownemu zniszczeniu. Obok Francji najgłębiej przeorał pług wojny ziemie polskie z wyjątkiem zaboru pruskiego. Wiele też domów, nie odnawianych przez szereg lat, stały się poprostu ruderami, grożącemi zawaleniem. Tymczasem ubytek ludności, mimo 7 miljonów poległych, nie był tak znaczny, by to mogło spowodować ulgę w sytuacji mieszkaniowej. Dodać trzeba wielkie przesunięcie całych mas ludności z obszarów zniszczonych, oraz ogromny ruchu reemigracyjny Polaków z zagranicy; szczególnie z Rosji i z Niemiec wróciło około dwóch miljonów Polaków. Przybyło nawet i obcych, np. emigrantów rosyjskich i, co najgorsze, więcej niż miljon żydów wschodnich. Inne kraje przechodziły podobne ruchy ludności.

Kwestja mieszkaniowa stała się więc w całej Europie palącą niedługo po zakończeniu wojny. Ale o jej rozwiązaniu nie można było myśleć. Kapitał przedwojenny został zniszczony przez dewaluację — trzeba było od początku zaczynać tworzenie nowych zasobów finansowych. Tymczasem oczywiście z powodu braku gotówki jej cena poszła ogromnie w górę. Procenta osiągnęły poziom średniowiecznej lichwy, 4—6% płaciło się niejednokrotnie na miesiąc zamiast na rok, a nawet i więcej. Przytem i koszta budowy podniosły się ogromnie. Najjaskrawszą lichwę zdołano powoli mniej lub więcej opanować, ale najtańszy kredyt i dziś wynosi około 10—12% rocznie, a przytem nie łatwo go otrzymać. To też mieszkania, budowane za tak drogi pieniądz, musiałyby

być tak drogie, że nikt nie byłby w stanie ich zapłacić, zwłaszcza, że i zarobki, szczególnie u nas, są bardzo niskie.

W takich warunkach popyt na mieszkania musiał wkrótce przywyższyć ich podaż. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest zawsze wzrost cen danego artykułu. Ponieważ chodziło tu o przedmiot pierwszej potrzeby, nie było można dopuścić do nieograniczonego handlu mieszkaniami, gdyż właściciele domów, którzy je przytem nieraz za bezcen nabyli w czasie inflacji, mogliby w niemożliwy sposób wyzyskać położenie lokatorów. To też wszędzie prawie wprowadzono t. zw. ochronę lokatorów. Polega ona na tem, że nie wolno nikogo wyrzucać z wynajętego przezeń lokalu, ani brać wyższego komornego, niż przewiduje ustawa. U nas zwaloryzowano komorne według opłat przedwojennych, ponieważ jednak pierwotny złoty, z kursem 5,18 za dolara, uległ dewaluacji i obecnie mamy złotego o niższej wartości, więc faktycznie płaci się dziś zaledwie nieco więcej niż połowę przedwojennego czynszu. Stosunek wynosi dokładnie 1 : 1,72. W innych krajach stawki są na ogół wyższe. Ustawa zakazała też sprzedawania mieszkań, czyli pobierania t. zw. odstępnego. Ale życie jest w tym wypadku silniejsze — bo skoro prawo do mieszkania jest czyjąś własnością, to trudno przeprowadzić zakaz sprzedania tej własności, zwłaszcza, że sprzedający zwykle musi sam takie prawo nabyć w innem miejscu. To też handel mieszkaniami rozwinął się do niebywałych rozmiarów. Pięciopokojowe mieszkanie w Warszawie, w dobrym punkcie, kosztuje dziś około 30.000 zł., to jest sumę, za którą można sobie za miastem ładną wilkę nabyć lub nawet wybudować. Szczęśliwi posiadacze mieszkań wyzyskują też niewątpliwie swój przywilej przez wynajmowanie pokoi nieraz za bardzo wygórowaną opłatą, szczególnie w stolicy.

Mówi się nieraz, że ochrona lokatorów spowodowała zastój w budownictwie prywatnem. Twierdzenie to nie jest słuszne. Nowe domy są bowiem wolne od ochrony i wolno wyznaczać cenę, jaką kto uzna za słuszne. Nawet przy najskromniejszej kalkulacji są one jednak tak wysokie, że przewyższają zdolność płatniczą ludzi dzisiejszych. To też zdarza się np. w Berlinie, że mimo głodu mieszkaniowego nowe domy stoją puste. Gdyby wskutek zniesienia ochrony lokatorów wszystkie mieszkania miały osiągnąć podobną cenę, to stosunki stałyby się zupełnie nieznośne — a kwestja budownictwa nie ruszyłaby naprzód. Przytem dopuszczenie do wypowiadania mieszkań doprowadziłoby do niebywałej klęski, gdyż co drugi chyba lokator otrzymałby wypowiedzenie. To też o zniesieniu ochrony można będzie dopiero wtedy pomyśleć, gdy głód mieszkaniowy zostanie zupełnie zaspokojony. Czy się jednak zbliżamy do tej chwili?

By sobie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sobie przedewszystkiem uprzytomnić, że ilość mieszkańców wzrasta — u nas przynajmniej — bardzo szybko. Na zachodzie liczy się na

głowę jedną izbę mieszkalną. W Warszawie przypada 2,7 mieszkańców na izbę, o ile się uwzględnia wszystkie nory mieszkalne — a licząc tylko pokoje rzeczywiste, nadające się na mieszkania, przypada 3,9 głów na izbę. Ponieważ przyrost roczny ludności w Polsce przekracza 400.000 osób, więc, zachowując nawet ten niemożliwy zupełnie stosunek, potrzeba nam przeszło 100.000 izb rocznie wybudować, by pokryć normalny wzrost zapotrzebowania, to znaczy utrzymać się na poziomie dzisiejszym — nie mówiąc już zupełnie o wyrównaniu olbrzymiego deficytu, który posiadamy obecnie. Oczywiście, że dzisiejszy ruch budowlany w Polsce ani w części nie pokrywa rocznego zapotrzebowania. To też deficyt rośnie w sposób katastrofalny. W Warszawie brakło w r. 1926 60.000 mieszkań — a w początku roku 1929 deficyt wynosi już 100.000 (mieszkań — nie izb!). W Poznaniu stosunki są podobne. Od 1. stycznia 1923 do 31 grudnia 1927 przybyło Poznaniowi 41.711 mieszkańców — a tylko 1300 mieszkań. Ogółem brakło w Polsce pod koniec r. 1928 około 700.000 mieszkań. Zapotrzebowanie to powiększa się co rok o 35—40.000 2-3 pokojowych mieszkań. Obecnie już 2,7% rodzin niema dachu nad głową, a większość mieszka w warunkach okropnych. Szczególnie w Warszawie i Łodzi przeważają mieszkania o jednej izbie, w której mieszka nieraz 10 i więcej głów — niejednokrotnie dwa, trzy małżeństwa, dzieci, starzy i młodzież dorosła obojga płci. Są miasta w których jest 70% takich jednoizbowych mieszkań. Jakie są następstwa dla moralności, nietrudno sobie wyobrazić. A warunki higjeniczne urągają wszelkim najelementarniejszym zasadom higjeny. Zdarzyło się, że siostrom dano jako mieszkanie — trupiarnię, w której zresztą już mieszkały chore na gruźlicę kobiety. Stwierdzono, że w Warszawie jest 2560 mieszkań bez światła, 11.750 wilgotnych, a 4.685 wilgotnych i ciemnych. Ale i gdzieindziej nie jest lepiej. I w Poznaniu znajdzie się rodziny, mieszkające na poddaszu za ścianką z kilku desek, która tylko jedną stronę zasłania... albo nawet w lepiankach z gliny. Zresztą podobne rzeczy można zaobserwować i w Paryżu, gdzie nieraz ludzie na przedmieściach budują sobie mieszkania ze starych skrzyń i desek. Klęska mieszkaniowa istnieje więc w całej prawie Europie, jedynie Ameryka nie zna tej plagi. Tam istnieją normalne stosunki, mieszkania stoją nawet puste, choć są one stosunkowo drogie. Rzecz dziwna, że nawet miasta, w których liczba ludności spadła i które naogół podupadają z powodu zmienionych warunków, jak np. Wiedeń, odczuwają mimo to ogromny głód mieszkaniowy.

Nie trudno sobie wyobrazić, jak bardzo musi ucierpieć *poziom życia europejskiego* z powodu braku mieszkań. Zdrowe mieszkanie jest jednym z podstawowych warunków zdrowia dorosłych, a szczególnie dzieci. W wilgotnych i ciemnych norach musi zagnieździć się gruźlica. To też nie możemy się dziwić, że w takiej Warszawie większa część dzieci jest chorych lub przynajmniej zagrożonych gruźlicą i innemi chorobami. Ilość nie-

zdatnych do wojska powiększa się w sposób przerażający, społeczeństwu przybywa coraz więcej ludzi, którzy są ciężarem dla innych. Chęć i zdolność do pracy zmniejsza się, ludzie z nory mieszkalnej, którą nieraz muszą dzielić z innymi, uciekają do karczmy. Brak mieszkań jest więc poważnym czynnikiem rozwoju tej strasznej klęski alkoholizmu, która się rozwija i ciągnie za sobą wszystkie prawie inne nieszczęścia. Oczywiście moralność musi w tych warunkach zupełnie zanikać, dzieci już zaczynają uprawiać rozpustę. Ale niezadowolenie ogólne szuka sobie ujścia w radykaliźmie społecznym. Ludzie oddają swe głosy na stronnictwa radykalne, nie dlatego, by wierzyli w obietnice wiecowe, na których się już tylekroć zawiedli — ale poprostu dla wyrażenia swego protestu. Ktoś wyliczył, że ilość głosów, oddanych przy ostatnich wyborach w Polsce na listy komunistyczne, odpowiada ilości bezdomnych. A ilość głosów radykalnych innych odcieni z pewnością ma także swój związek z nędzą mieszkaniową. U ludzi, żyjących w tak ohydnych i wilgotnych norach, niełatwo mogą się krzewić wzniosłe ideały. Jedno jeszcze katastrofalne następstwo zastoju budowlanego musimy podkreślić. Jest niem bezrobocie, które w dużej mierze ma swą przyczynę w zastoju ruchu budowlanego i związanego z nim przemysłu.

Cóż uczyniono dotąd dla usunięcia braku mieszkań? Nigdzie w Europie, nawet w krajach o względnie tanim pieniądzu czyli niskiej stopie procentowej, nie mógł się jeszcze rozwinąć prywatny ruch budowlany, oparty na normalnej kalkulacji. Wszędzie musi państwo dopłacać, bądź to w formie nagród, bądź ponoszania części kosztów budowy, lub przez tanie, a nawet bezprocentowe pożyczki. Najwięcej zdziałano w Anglji. W czasie zakończenia wojny wybudowano tam już znacznie ponad miljon mieszkań. Francja miała bez porównania większe trudności. bo musiała zupełnie na nowo odbudować z gruzów znaczną, niegdyś najbardziej zamożną część kraju. Praca ta przez szereg lat pochłonęła zupełnie energję narodu francuskiego; zabrakło tam nawet sił roboczych, które trzeba było w dużej ilości sprowadzać z innych krajów, szczególnie z Polski i Włoch. To skoncentrowanie się całej energji na odbudowę musiało doprowadzić do zaniedbania normalnej rozbudowy, szczególnie w Paryżu, który rozrasta się w ogromnie szybkim tempie kosztem wyludniającej się prowincji. Po przezwyciężeniu powojennych trudności finansowych i po zakończeniu najważniejszej odbudowy kraju, Francja zabrała się z ogromnym rozmachem do rozwiązania zaognionej tymczasem bardzo kwestji mieszkaniowej. Opracowano plan budowy kilkuset tysięcy (250—300.000) mieszkań, przedewszystkiem małych dla robotników, ale także i 60.000 większych dla inteligencji. Rząd wydaje duże premje i bezprocentowe pożyczki, tak że każdy, kto ma choć niewielki oszczędzony kapitalik — we Francji oszczędza każdy — może sobie postawić domek, względnie przystąpić do większej spółdzielni mieszkaniowej — i uzyskać dom lub

mieszkanie na własność. Szczególną opieką cieszą się rodziny, posiadające więcej dzieci — niestety we Francji bardzo rzadkie. Na rozwiązanie kwestji mieszkaniowej Francja przeznaczyła 7 miljardów franków na przeciąg najbliższych kilku lat — i za tę cenę stanie około 330.000 mieszkań.

I Niemcy, a szczególnie Prusy zabrały się z wielką energją do budowania domów, podobnie Belgja i Holandja. W Prusach uzyskano w r. 1927 przez budowę lub przebudowę 190.700 mieszkań, do czego potrącić należy 12.000 zniszczonych przez pożar lub rozbiórkę albo już niezdatnych do użytku. Jest to o 50.000 więcej niż w roku poprzednim. Rok 1928 był jeszcze lepszy, bo dał 185.456 nowych mieszkań. O ile ruch budowlany będzie się nadal w tem tempie rozwijał, deficyt mieszkaniowy, który dla Prus wynosi obecnie około 300.000 mieszkań, a dla Rzeszy będzie wyrównany do r. 1935, wtedy będzie można się zabrać do usuwania mieszkań nieodpowiednich. Wielki stosunkowo rozmach budowlany rozwija zbankrutowana, jakby się sądziło, resztówka — republika austrjacka.

Widzimy więc, że wszędzie czyni się olbrzymie wprost wysiłki, celem opanowania sytuacji mieszkaniowej. Niestety nie można tego powiedzieć o Polsce. To, co u nas dotąd zrobiono — to kropla w morzu. Najwięcej stosunkowo budowano w Warszawie, która musi się przystosować do roli stolicy 30-miljonowego państwa. Jak się przedstawia w cyfrach ten „wielki" ruch budowlany? W r. 1925 zbudowano izb (nie mieszkań) 5.800, w r. 1926 — tylko 3700, w r. 1927 — 14.600. To był największy wysiłek. W r. 1928 już zabrakło funduszy i wybudowano tylko 10.600 izb. Ogółem wynosi to 34.700 izb w ciągu 4 lat. Ponieważ dla zachowania obecnych stosunków trzeba budować rocznie 11.500 izb — czyli w ciągu czterech lat 46.000 — widzimy, że nie pokryło się nawet normalnego wzrostu zapotrzebowania — i deficyt wzrósł, miast się zmniejszyć. Nielepsze są stosunki w innych miastach, szczególnie w Łodzi i w Poznaniu. Względnie dużo budował ostatnio Kraków, ale oczywiście jest to kroplą w morzu. U nas o wielkim ruchu budowlanym zaczyna się dopiero mówić, gdy Niemcy mają już przed sobą bliską perspektywę rozwiązania sprawy — inne państwa również ją już w dużej mierze rozwiązały. Jest czas najwyższy, by wołać na trwogę i ogłosić mobilizację zasobów całego narodu — pod hasłem: wszystko na front budowlany.

Szkolnictwo społeczne w Francji.

Od pewnego czasu czyni się w Francji z strony katolickiej bardzo wielkie wysiłki około rozszerzenia i pogłębienia wykształcenia społecznego i w związku z tem rozbudowy szkolnictwa społecznego. Można nawet śmiało twierdzić, że nigdzie indziej nie robi się pod tym względem tyle, co w niektórych diecezjach Francji. Podawaliśmy na tem miejscu już kilka razy szczegóły tej akcji. Szczególnie dobrze zorganizowana jest ona w archidiecezji tuluskiej, gdzie nauki społeczne są objęte programem nauk na wszystkich trzech stopniach katolickiego szkolnictwa, niższego, średniego i wyższego. Arcybiskup tuluski Germaine, ogłaszając w lipcu 1926 dekret, wprowadzający w katolickich szkołach jego archidiecezji do programów nauk szkół niższych i średnich nauki społeczne, uzasadnia swe zarządzenie w następujący sposób: „Katolicy już oddawna są zaniepokojeni nieznajomością i błędami, które panują w wszystkich klasach społeczeństwa odnośnie do katolickiej nauki społecznej. Kościół nie może spokojnie patrzeć na to, jak myśl i szlachetna akcja dzieci ludu błąka się po drogach bez wyjścia i pełnych niebezpieczeństw; ma on obowiązek tłumaczyć i wpajać im swą własną naukę społeczną odnośnie do spraw, które posiadają tak wielkie znaczenie dla ich pomyślności doczesnej i także ich zbawienia wiecznego. Nieznajomość tej nauki jest zresztą główną przyczyną nieporozumień, które oddalają w obecnej chwili od Kościoła wielką część robotników. Wykształcenie społeczne, które się daje w naszych kółkach naukowych, nie wystarcza, by zaradzić temu złu; obejmuje ono tylko szczupłą elitę. Ogół tych, co opuszczają nasze szkoły i patronaty, by wejść w życie praktyczne, wychodzi bez żadnego przygotowania społecznego i bywa zaraz ogarnięty przez propagandę rewolucyjną oraz wpisuje się bardzo często, mniej lub więcej świadomie, na listy zwolenników organizacyj socjalistycznych. W szkole więc powszechnej i w patronacie należy przepoić tę młodzież naukami społecznemi Kościoła. W kołach młodej burżuazji panuje podobna ignorancja a następstwem tej ignorancji — jakkolwiek zupełnie odmienne od tych, które powstają w kołach robotniczych — sprzeciwiają się nie w mniejszej mierze porządkowi i pokojowi społecznemu, braterstwu chrześcijańskiemu, nieraz nawet zwykłej sprawiedliwości. Tutaj właśnie,

mimo pochwały godnych wysiłków naszych ośrodków naukowych, zwłaszcza naszych kółek Młodzieży Katolickiej, jest jeszcze prawie wszystko pod względem kształcenia społecznego do zrobienia.“

Stosownie do tych zamierzeń wypracowano plan nauk społecznych, jakie mają być wykładane zarówno w szkołach powszechnych, jak i średnich. Plan dla szkół powszechnych obejmuje: naukę społeczną Kościoła, historję klasy robotniczej, podstawy francuskiego prawodawstwa, specjalnie ustawy o związkach zawodowych. Plan zaś dla szkół średnich obejmuje ten sam materjał w pogłębieniu, ekonomję społeczną i aktualne zagadnienia społeczne. Po ukończeniu tych kursów nauk społecznych odbywają się egzaminy, których szczęśliwy wynik uprawnia do dyplomu niższego wzgl. średniego nauk społecznych. Dla studjów zaś wyższych nauk społecznych założono przy Katolickim Uniwersytecie w Tuluzie Wyższą Szkołę Nauk Społecznych. Szkoła ta obejmuje 4 katedry: katedrę Leona XIII, na której wykłada się naukę społeczną Kościoła, katedrę Alberta de Mun‘a z wykładami ustawodawstwa społecznego, katedrę Fryderyka de Playa z wykładami nauk ekonomicznych i katedrę Ozanama z wykładami praktyki społecznej. Plan wykładów jest rozłożony na trzy lata. Na końcu każdego roku zobowiązani są słuchacze do składania egzaminów. Po złożeniu wszystkich trzech egzaminów otrzymują specjalny dyplom. W ścisłym związku z tym kursem prowadzi Wyższa Szkoła Nauk Społecznych kurs korespondencyjny o tym samym programie; bierze w nim udział przeszło 100 osób. W wyjątkowych wypadkach dopuszcza się uczestników tego kursu korespondencyjnego także do egzaminów.

Kongres katolickich robotników - murzynów.

W dniu 1 września r. u. obradował w Cincinnati w Stanach Zjednoczonych pierwszy kongres katolickich robotników-murzynów. Zamienił on się w wielki protest przeciw upośledzeniu robotników-murzynów w dziedzinie pracy. Powszechnie bowiem stosuje się tę zasadę, że człowiek kolorowy nie może być dopuszczony do tej samej „klasy“ pracy, co człowiek biały. Skutkiem tego jest gorsze przygotowanie zawodowe młodzieży murzyńskiej. Także pod względem płacy traktuje się murzyna znacznie gorzej niż białego. Nie dopuszcza się ich również do różnych związków zawodowych. W końcowej rezolucji wezwał też kongres młodzież murzyńską do najusilniejszej pracy nad podniesieniem ekonomicznem czarnej rasy i wywalczeniem dla niej całkowitego równouprawnienia.

Biuro pracy półdniowej dla kobiet w Bordeaux.

Dzieło o wielkiej społecznej doniosłości powołała do życia Izba przemysłowa w Bordeaux. Wychodząc z założenia, że poza

domową praca zarobkowa kobiet zamężnych jest rzeczą wysoce ujemną i niepożądaną, a z drugiej strony biorąc pod uwagę, że warunki ekonomiczne zmuszają je nieraz do takiej pracy, stworzyła ona „Bureau de mi-terps“, biuro pracy południowej. Jest to w istocie swej biuro pośrednictwa pracy, mające ten specjalny cel, by wyszukiwać dla kobiet zamężnych takie posady, na których mogłyby być tylko przez kilka godzin zajęte, tak że pozostawałoby im dość czasu do należytego wypełnienia obowiązków żony, matki i pani domu. Inicjatywa ta zasługuje na jak najżywsze sympatje.

Akcja rządu włoskiego przeciw niedbałym właścicielom ziemskim.

W dawnem państwie kościelnem istniały przepisy, pozwalające każdemu uprawiać ziemie pozostawione odłogiem przez ich właścicieli i to bez żadnego wynagrodzenia tychże. To zarządzenie sięga początkami swemi już wieku XIII, a mianowicie papieża Klemensa IV. Ponawiali je i uzupełniali papieże Sykstus IV, Klemens VII, i Pius VI. Ostatnim, który tę sprawę regulował, był papież Pius VII już w wieku XIX. Tę akcję papieży przeciw marnotrawieniu sił produkcyjnych ziemi podjął znowu Mussolini, wydając przepis, upoważniający władze prowincjonalne do brania w administrację majątków ziemskich o zaniedbanej kulturze rolnej. Takie „naruszenie“ własności prywatnej byłoby i u nas w Polsce na miejscu.

„Katoliccy“ socjaliści.

Od pewnego czasu jesteśmy świadkami usiłowań wśród niektórych kół socjalistycznych zbliżenia się do religji i Kościoła. Ruch ten objął głównie Niemcy i Austrję. Przed kilku latami powstał na tem tle w Niemczech związek religijnych socjalistów; wyrósł on z łona protestantyzmu. Analogiczna organizacja powstała niedawno w Austrji. Najnowszym przejawem tego ruchu to związek katolickich socjalistów, jaki w zeszłym roku w ramach związku religijnych socjalistów się utworzył. Główny trzon tego związku katolickich socjalistów tworzą Austrjacy. Wydaje on nawet od stycznia r. b. własny organ: „Der rote Tag Katholischer Sozialisten“. Całą tę akcję należy uważać jako objaw wielkiego pomieszania pojęć i rzecz wysoce niebezpieczną.

Połączenia katolickich organizacyj młodzieży w Niemczech.

Od kilku miesięcy mamy w Niemczech jedną ogólną wielką organizację młodzieży katolickiej pod nazwą „Katolische Jugend Deutschlands“, obejmującą wszystkie związki młodzieży katolickiej, zarówno męskiej, jak żeńskiej, młodzieży pracującej, szkolnej, uniwersyteckiej, kulturalno-oświatowe, naukowe, abstynenckie,

sportowe. Celem tej nowej ogólnej organizacji to utwierdzenie i pogłębienie ducha łączności wśród katolickiej młodzieży w Niemczech, popieranie jej wspólnych dążeń, zadań i prac, na podstawie wewnętrznej jedności i zewnętrznej zwartości, dla dobra Kościoła, społeczeństwa i państwa. Szczególnie zaś ma ona być jedną z głównych podpór akcji katolickiej; w jaki sposób ma się to stać nie ustalono jeszcze w wszystkich szczegółach, zwłaszcza że przejawiła się co do tego pewna rozbieżność poglądów. Sprawa ta ma być przedmiotem specjalnych obrad.

DZIAŁ RECENZYJNY.

„Ścieżki młodości wielkich mężów." Przekład dziełka d-ra Konstantego Holla „Die Jugend grosser Männer", uzupełniony opracowaniem 15-tu sylwetek wielkich Polaków. Tłumaczenia i opracowania dokonał Franciszek Kabe. Sandomierz 1929. Skład główny: Zawodowa Szkoła Żeńska w Sandomierzu, ul. Mickiewicza 7 i w Księgarni św. Wojciecha, Poznań.

Dwutomowe to dzieło w dużej ósemce — pierwszy tom obejmuje 326 stronic druku, drugi 359 — ozdobione 22 wizerunkami wielkich ludzi, szczęśliwie zapełnia lukę w naszej literaturze wychowania społecznego, opartego o ideały religijne. Autorom tak w przedstawieniu sylwetek obcych jak i polskich nie chodzi o danie ściśle naukowych monografij. Cel dzieła jest nawskroś praktyczny. Ma ono wpływać bezpośrednio na wolę, pobudzać do uszlachetnienia charakteru, wzbogacać duszę ideałami, stawiając przed nią wzniosłe cele, przez przykłady, zachęcać do podjęcia walki w celu ich zdobycia, a przytem uczyć wytrwania w niej aż do zwycięstwa. Przed oczyma czytelnika przesuwa się w barwnym korowodzie 40 sylwetek obcych i 15 polskich wielkich ludzi różnych stanów i różnych czasów, a każda do czegoś dobrego zachęci, czegoś dobrego nauczy. Zapomocą przykładu działa na wolę, uspołeczniając jednostkę przez podniesienie wewnętrznej wartości, głębokie poczucie obowiązkowości, ofiarności i poświęcenia dla drugich, wyrobienie kultu i poszanowania pracy.

W pierwszym rzędzie książka przeznaczona jest dla młodzieży.

W młodzieży naszej pustej i bezmyślnej w życiu codziennem, bez żadnych szlachetniejszych porywów wieku młodzieńczego, zmaterjalizowanej, której programem na codzień jest zbycie byle jak swoich obowiązków, trzeba budzić wznioślejsze ideały, jakiś cel życia przed nią postawić, a co więcej dać zrozumienie potrzeby walki i wytrwania w niej bohatersko aż do zwycięstwa. Gotowe wzory ideałów, i to nie przeciętnych, i gotowe sposoby walki o ich urzeczywistnienie, prowadzonej przez ludzi z najrozmaitszych środowisk i stanów, młodzież nasza może tu znaleźć. Stąd kierownikom wszelkich organizacyj młodzieży dzieło to może pożyteczną pracę ogromnie ułatwić, a samej młodzieży przynieść dużą korzyść.

Jest jednak jeszcze coś więcej w tej książce, co z punktu widzenia społecznego należy podkreślić. Książka ta ma duże znaczenie dla naszego społeczeństwa, a nadewszystko dla rodziców, ze względu na przykłady środowiska życia rodzinnego, owianego duchem religijności, powagi i zrozumienia obowiązków, które na niej ciążą. W wydaniu niemieckiem Holla książka ta była przeznaczona na czytania niedzielne. I u nas podobną rolę może spełniać. Rodzinom naszym, które coraz więcej tracą atmosferę religijności i dawne tradycje katolickie, a wprowadzają do ogniska rodzinnego nowoczesne prądy zepsucia i rozbicia rodziny, książka ta może poddać niejedną myśl reformy, zachęcić do samoobrony, wskazując na potrzebę takiej atmosfery życia rodzinnego, z jakiej wyrastali ci wielcy ludzie.

Samo tłumaczenie, w którem autor tak szczęśliwie uniknął trudności przekładu z języka niemieckiego, jak i oryginalne życiorysy podane są w ładnej szacie stylowej, szczególniej sylwetki Polaków. Strona zewnętrzna

wydawnictwa pod względem technicznym przedstawia się dobrze. Zasługą dużą autora-wydawcy jest i to, że dał społeczeństwu, jak na dzisiejsze czasy, książkę niezwykle tanią. Dwa tomy razem kosztują tylko 8 zł., a nabywane oddzielnie: pierwszy 4 zł., a drugi 5 zł. Przy zamówieniu przynajmniej pięciu egzemplarzy w składzie głównym (Szkoła Zawodowa Żeńska, Sandomierz, ul. Mickiewicza 7) otrzymuje się 10% zniżki i nie ponosi się kosztów przesyłki. Dzięki temu znajdzie ona szerokie rozpowszechnienie, a autor osiągnie zamierzony cel — posiew dobra. *w.*

Dr. Józef Chałasiński: Wychowanie w domu obcym jako instytucja społeczna. Studjum z socjologji wychowania. Poznań 1928. Polski Instytut Socjologiczny. Str. XI i 215.

Pomijając pracę ks. dr. Mirka (Elementy społeczne parafji rzymsko-katolickiej), która jednak jako „wstęp" do zupełnie nowego działu socjologji ma charakter znacznie ogólniejszy, — jest to pierwsza w naszej literaturze monografja socjologiczna, oparta już na zasadach czysto naukowych szkoły prof. Znanieckiego. Czytając książkę dr. Chałasińskiego, można się naocznie przekonać, że teorje Znanieckiego w pełni zdały swój egzamin jako kategorje, nadające się do ujęcia zagadnień społecznych i rozwinięcia związanych z niemi zagadnień — o czem nie wszyscy, stojący zdala od socjologji, byli od początku przekonani. Autor — przyznać trzeba — bardzo gruntownie przejął cały system prof. Znanieckiego — i na tej kanwie próbował zanalizować jedno konkretne zagadnienie wychowawcze, mianowicie instytucję wychowania w domu obcym. Zawód czeka jednak tego, kto spodziewa się omówienia aktualnych metod pedagogicznych, związanych z próbami takiego wychowania. Studjum ogranicza się prawie zupełnie do zbadania tej instytucji w średniowieczu, mianowicie wychowania dworskiego u rycerzy i wychowania terminatorów w domu mistrza w stanie rzemieślniczym. Ograniczenie to należało jednak stanowczo w tytule zaznaczyć — bo praca naukowa to nie powieść, przy której krótki, fascynujący tytuł jest nieraz rzeczą najważniejszą. Jest to więc praca historyczno-socjoligiczna — przyczem jednak autor naogół bardzo dobrze potrafił materjał ująć kategorjami socjologicznemi. I tu leży może najciekawsza strona tej monografji. Próba ta wykazała, że kategorje socjologiczne dają możność wiele głębszego wniknięcia w istotę procesów historyczno-społecznych — i wyrażenia tego przebiegu — niż to uczynić może historyk, nie znający socjologji. Różnica między historykiem i socjologiem będzie jednak bardzo wielka: gdy pierwszy szuka wyjaśnienia jednorazowych przebiegów historycznych wydarzeń, drugi w wydarzeniach tych szukać będzie jedynie materjału dla uogólnień. Autor ma czasem skłonności do zatrzymania się przy czysto historycznych kontemplacjach — naogół potrafił jednak uniknąć tego niebezpieczeństwa i nie zapomnieć, że szkice historyczne są tu tylko materjałem dla socjologa. Mimo to nie są one pozbawione wartości jako synteza historyczna, która rzuca bardzo ciekawe światło na epokę średniowiecza — i daje dużo materjałów do aktualnych refleksyj filozoficzno-społecznych. Własny pogląd na świat potrafił naogół autor w cień usunąć — na czem oczywiście zyskała wartość książki. Wprawdzie chętnie dowiedzielibyśmy się coś więcej o skuteczności opisanych metod wychowawczych. Trudne to niewątpliwie pytanie i wyczerpująca odpowiedź wymagałaby zbyt szerokich studjów. Zdaje się jednak, że i na podstawie posiadanych materjałów mógł autor zaryzykować próbę odpowiedzi na ten temat, gdyż bez tego zagadnienie nie może zostać rozstrzygnięte. Chodzić może oczywiście jedynie o kwestję, na ile metoda wychowawcza w domu obcym osięgła ideał wychowawczy własnej grupy społecznej. Czytając książkę, ma się wrażenie, że i autor uważa metody średniowieczne — w okresie ich pełnego rozwoju — za znacznie skuteczniejsze w stosunku do ówczesnych celów wychowania, niż nasze współczesne metody szkolne w stosunku do naszych ideałów i wymagań.

Wychowanie w domu obcym to metoda charakterystyczna dla grup pierwotnych, obejmujących całokształt życia (wspólnoty). Jest to wyraz kombinacji grupy genetycznej (rodowej) i zawodowej. Geneza tej metody jest nierefleksyjna — prowadził do niej sam rozwój społeczny. Obok czynników wychowawczych wchodziły tu w grę i pozawychowawcze, jak chęć zyskania protektorów-opiekunów u rycerstwa, a potrzeba posiadania pomocników u rzemieślnika. Charakterystyczną ideą jest w obu wypadkach służba, a metodą wychowania udział w życiu grupy i współtworzenie jej wartości. Tych czynników właśnie braknie w wychowaniu szkolnem, gdzie czynności ucznia nie dają aktualnych wyników, a wychowawca nie jest członkiem grupy (uczniowskiej), lecz intruzem. Określenie to wydaje się wprawdzie niezupełnie ścisłe, gdyż w świadomości klasy istnieje niewątpliwie uznana instytucja nauczyciela, który posiada swoje prestige nietylko z racji stanowiska, ale i jako przedstawiciel „starszego społeczeństwa". W każdym razie słuszną jest jednak uwaga, że braknie tu tych więzów, które istniały przy współżyciu na dworze czy w warsztacie, i tej aktywności ucznia w tworzeniu aktualnych, uznanych przez grupę wartości.

Cenne dla społecznika są uwagi historyczno-społeczne autora na temat ekonomicznej struktury średniowiecza i jego pojęć w tej dziedzinie. Zasadniczo nie są to wprawdzie zupełnie nowe rewelacje, ale nowem jest ich ujęcie socjologiczne. Lecz i same wyniki historyczne będą rewelacją dla przeciętnego inteligenta, który ustrojem gospodarczym średniowiecza specjalnie się nie zajmował. Mniejsza już z tem, czy określenie klasy rycerskiej, jako klasy wyłącznie konsumującej, jest zupełnie ścisłe. Wszak książę, który sprowadzał Cystersów lub zakładał wsie, był pośrednio także wytwórcą, a przynajmniej organizatorem wytwórczości. W każdym razie trafnie jest uchwycony system pojęć. Pojęcia te nam, ludziom dwudziestego wieku, są tak obce, że trudno się w nie wmyśleć. A jednak i w naszem społeczeństwie spotyka się jeszcze w niektórych sferach resztki tych dawnych pojęć. Błędem byłoby jednak rycerstwo oceniać ze stanowiska współczesnych pojęć ekonomicznych. Ta ideologja hojnych rozdawców byłaby może nawet bardziej chrześcijańską — od idei pomnażania swych dóbr — gdyby nie to, że rycerz rozdawał plony nie własnej, lecz cudzej pracy — a nieraz podstępu lub gwałtu i gdyby nie ta pogarda dla innych klas (koń wart trzech niewolników). Ciekawą jest też ideologja gospodarcza grupy *par excellence* wytwórczej — mianowicie cechów. I tu — w dobie rozkwitu — niema idei zysku, lecz jedynie zasada zapracowania na chleb. Korzyści zyskuje cała grupa — nikt nie bogaci się sam, nie wyprzedza innych. Stąd i konserwatyzm w wytwórczości, zakazujący wprowadzania nowych sposobów produkcji, stąd i ograniczenia liczebne w rozbudowie warsztatów. Z tą chwilą, gdy idea zysku osobistego zaczyna występować — narazie jeszcze tłumiona różnemi sposobami przez grupy cechowe — zaczyna się już rozkład cechów, wiodący ostatecznie do ich upadku i do liberalizmu gospodarczego. Powstają więc antagonizmy między mistrzami z czeladzią — utrudnia się tej ostatniej usamodzielnienie, rozszerzające równocześnie jej prawa. Ale to są już rzeczy bardziej znane.

Ideologja ta ze stanowiska chrześcijańsko-społecznego daje dużo materjału do refleksji na temat dzisiejszych pojęć ekonomicznych, ich zgodności z chrześcijaństwem — i nad kierunkiem współczesnej ewolucji.

Książkę dr. Chałasińskiego polecamy do przeczytania tym, którzy nie obawiają się bardzo trudnego, czasami nawet zawiłego stylu.

Specjalne uznanie należy się też wydawcom i drukarni (Poradnika Gospodarczego) za wyjątkowo wytworne wydanie książki.

Dr. A. N.

Ludwik Posadzy: Odrodzić Polskę w Chrystusie. Bibljoteka Filarecka. Nr. 1. Poznań 1928. Fiszer i Majewski. Str. 265.

Jest to wydanie zbiorowe 43 rozpraw i artykułów, które się ukazały w ciągu ostatnich sześciu lat. Są to perły publicystyki polskiej, które czyta

się z prawdziwą rozkoszą. Czytelnik przekonuje się rychło, że ma do czynienia z wyjątkowo silną i rzadko jednolitą a przytem oryginalną osobowością autora, który każde słowo, nim je napisze (czy wypowie), głęboko przemyśli i przetrawi. Dosadnia obrazowość stylu Posadzego niełatwo znajdzie sobie równych. Jego ideologja to świat myśli Mickiewicza z okresu paryskiego, zastosowana do zagadnień współczesnych. Trudno będzie znaleźć w literaturze naszej autora o tak potężnej dynamice uczuć religijnych, w których się przepala wszystko inne. Walka o ten „górny prąd" naszego życia, bez którego jak tramwaj nie możemy ruszyć z miejsca — jest treścią tej książki. Obejmuje ona wielkie bogactwo tematów religijnych, wychowawczych, społecznych. Choć nie na wszystkie poglądy autora można się zgodzić (np. na jego ocenę ustroju demokratycznego), to w każdym razie stając odważnie w poprzek utartym poglądom naszego stulecia, zmusza nas on do poddawania rewizji tych często, aż nazbyt często, bezmyślnie powtarzanych ogólników. Książkę tę winien przeczytać i przemyśleć każdy społecznik.

Dr. A. N.

NOTATKI BIBLJOGRAFICZNE.

J. Bielecki: Dr. Franciszek Stefczyk. Pionier Spółdzielczości Rolniczej w Polsce. Związek Rewizyjny Polskich Spółdzielni Rolniczych, Warszawa, 1927, str. 24.

S. Dąbrowski: Co czynią spółdzielnie spożywców dla przebudowy ustroju społecznego. Książnica „Społem", Warszawa.

10 lat polityki społecznej państwa polskiego, 1918—1928 r. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, Warszawa, 1928, str. 78.

Dr. T. Klapkowski: Spółdzielnie rolnicze w województwach centralnych i wschodnich. Związek Spółdzielni Rolniczych Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa, 1928, str. VIII i 223.

Dr. F. Stefczyk: Znamiona i zadania Kas Stefczyka. Związek Rewizyjny Polskich Spółdzielni Rolniczych, Warszawa, 1927, str. 64.

Dr. A. Rączyński: Umowy zbiorowe pracy. Uwagi do projektu Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. J. Hoesick, Warszawa, 1928, str. 31.

P. Załuski: Co to jest Kasa Stefczyka i jak ją założyć. Związek Polskich Spółdzielni Rolniczych, 1927, str. 64.

P. Bayart: Le régime économique moderne. Librairie du Recueil Sirey Paris.

Concentration, rationalisation et politique sociale. Confédération Internationale des Syndicats Chretiens, Utrecht.

Guide d'action sociale. La femme dans la société actuelle. Éditions Spes, Paris, str. 292.

G. Guitton S. J.: Léon Harmel et l'initiative ouvrière. Éditions Spes, Paris.

R. Hercod: La question d'alcool au point de vue international. La Concorde, Lausanne, str. 33.

E. Labbé: Les loisirs ouvriers. Cercle parisien de la Ligue française de l'enseignement.

G. Renard: Le travail dans la préhistoire. Histoire universelle du travail. F. Alcon, Paris 1927, str. 278.

P. Royer: Dans une oeuvre de jeunesse. Paris.

L. Rouzie: Servir. P. Lethielleux, Paris.

R. Savatier: La Russie bolcheviste vue à travers ses lois. Société du Recueil Sirey, Paris.

T. Vulhoop: Une politique des familles nombreuses en Belgique. H. Dewit, Bruxelles.

Die katholische Arbeiterinternationale und Bericht über den ersten Internationalen Kongres der katholischen Arbeitervereine in Köln. Verlag der Westdeutschen Arbeiter-Zeitung, M.-Gladbach.

M. A. Bauer: Kleid und Mode im Lichte katholischer Ideenwelt.

Dr. M. Baum: Beiträge zur Ausgestaltung der Erholungsfürsorge für Kinder und Jugendliche. Schriftenreihe des Deutschen Archivs für Jugendwohlfahrt. Heft 7. F. A. Herbig, Berlin, 1928, str. 146.

E. Blijdenstein: Die katholischen holländischen Gewerkschaften in ihrer Eigenart. E. Pilgram, Köln, 1927, str. 56.

I. Bucher: Die christlichen Gewerkschaften und ihre Stellung zum „Kapitalistischen Geist". Köln, 1927, str. 100.

Dr. E. Cremer: Pflichtgebundenes Grundeigentum und Gesellschaft. Leohaus, München.

H. Fahsel: Ehe, Liebe und Sexualproblem. Herder, Freiburg, 1928.

Frauenberuf und Seelsorge. Referate der Herbstagung der Kath. Jungfrauenvereinigungen Deutschlands. Verbandsverlang weiblicher Vereine, Düsseldorf, 1929.

E. Hausknecht-Derendinger: Das Dienstbotenproblem. Pro Inventute, Zürich, 1925, str. 122.

H. Meger: Kath. Aktion und Berufsverband. Volksvereinsverlag, M.-Gladbach, str. 36.

W. Jaehn: Wer wirft den ersten Stein? Mädchenschicksale unserer Zeit. Hädecke-Verlag, Stuttgart, 1927, str. 160.

Dr. Kreil: Sozial Versicherung und Wirtschaft. R. Hobbing, Berlin.

H. Krüger und Fr. Bande: Sozialdemokratische Agrarpolitik. Erläuterungen zum sozialdemokratischen Agrarprogramm. I. H. W. Dietz, Berlin, str. 99.

K. Kussner: Englische Volksbildungsarbeit. Silberburg, Stuttgart, 1927, str. 155.

Letterhaus-Röhr: Grössenordnung in Volk und Wirtschaft. Christlicher Gewerkschaftsverlag, Berlin 1928.

R. Hercod: Die Alkoholfrage als internationales Problem. Neuland-Verlag, Berlin, 1928, str. 24.

R. R. Michels: Sittlichkeit in Ziffern. Duncker & Humblodt München und Leipzig.

Dr. P. Mombert: Soziale und wirtschaftspolitische Anschauungen in Deutschland. Quelle u. Meyer, Leipzig, 1928, str. 131.

A. Ott: Gefangene erlösen — Caritas urget nos Verza, Landsberg a. Lech, str. 60.

H. Schilger: Du und Er. Des Mädchens Stellung zum Jungmann. L. Schwann, Düsseldorf, str. 274.

E. Stoffels: Jungmädchens Weggeleit. Eine Lebenskunde für junge Mädchen. L. Schwann, Düsseldorf.

W. F. Stolz: Reifende Mädchenseele. Ein Geleitbüchlein für junge Mädchen. F. Rauch, Innsbruck, str. 99.

K. Sudbrock S. J.: Die Schmiede der katholischen Aktion, Exerzistenapostel an die Front. Fr. Paffenholz, Köln-Deutz, str. 48.

Die Ueberwindung der Wohnungsnot. Stenographischer Bericht der Tagung im Sitzungssaale des ehemaligen Herrenhauses zu Berlin am 21. Januar 1927. Heft 3 der Schriften des Deutschen Vereins für Wohnungreform. E. V. R. Hegmanns Verlag, Berlin 1927, str. 94.

A. Worlitzschek: Persönlichkeitspflege. Selbsterzieherische Ueberlegungen. Herder, Freitag i Br., 1928, str. VI i 144.

Na obchody ku czci Marji!

Kazania — Przemówienia — Lektura

Ks. Aleksander Rogóż: **Dzieweczko wstań!** Nauki rekolekcyjne 3.20
— **Pamiętnik zlotowy.** Wykłady i przemówienia dla dorastających dziewcząt 1,60
— **Jednodniówka zlotowa.** Zbiór artykułów i deklamacyj o Królowej Korony Polskiej i ideałach dziewczęcia polskiego 1.10
X. S. P.: **Młode serca.** Życiorysy młodych dziewcząt, cichych bohaterek dnia codziennego. Lektura dla dorastającej młodzieży żeńskiej 3.—
M. J. S.: **Jasnym szlakiem.** Rozmyślania o N. Marji Pannie 3.50

Bibljoteka wieczornicowa.

Felicja Żurowska: **Śladem Marji.** Śpiewy, deklamacje, obrazki sceniczne i t. d. na wieczornicę marjologiczną 2.50
— **Królowa Korony Polskiej.** Program i materjały na obchod ku czci Marji 1.50

Teatr dla młodzieży żeńskiej.

Felicja Żurowska: Perły Najświętszej Panienki 0 90
" " Złoty strumień 0 75
" " Gdzie jesteś Panie? . . . . 2.—
A. Huc: Dla Chrystusa 1.60
Klara Nowacka: W krainie baśni 0 90
Afra Kirner: Zwycięstwo miłości 0.80
C. Wolniewiczówna: W opiece Marji 0.75
" " Złota ręka 0.40
N. N.: Obraz Matki Najświętszej 1.60

Pieśni.

Feliks Nowowiejski: Przeczysta Panno! 3 gł. po 20 gr. part. . . . . . 1.—
" " Pod sztandarem Matki Boskiej 2 gł. po 20 gr . part. 1.—
" " Panno co Jasnej. 2 gł. po 30 gr. . . . . . part. 2.50
" " Hymn młodzieży żeńskiej, 2 gł. po 20 gr. . . part. 1 50
" " Śpiewy podczas Mszy św. 1 egz. 4 gr, 10 egz. 35 gr, 100 egz. 3.—
" " Modlitwy do Ducha św. i Królowej Korony Polskiej
Ks. Fr. Walczyński: Msza pojska 1.50
" " " Już majowe świecą zorze! na 3 gł. równe 1.50
" " " Królowo Polska! na 3 gł. równe 1.50
" " " Gwiazdo jasności! na 3 gł. równe 1.50
" " " Nie opuszczaj nas! na 3 gł równe 1.50
XX. Orszulik i W. Świerczek: Hymn marjeński do użytku stowarzyszeń na 1 głos z tow. organów, harmonjum lub fortopjanu 0.60
tekst 0 05
X. W. Świerczek: Bogu-Rodzica, najstarsza polska pieśń religijna do śpiewu z tow. organów lub harm. . . . . 1.—
Ks. A. Chlondowski: Nowenna — Pieśni do Najśw. Panny Marji, na 1 i 2 głosy z tow. organow. 3.00

Druki organizacyjne

Nalepki — trzykolorowe do okien, 1 egz. 6 gr., 50 egz. 2 80
Afisze — trójbarwe, obwieszczające obchód 1 egz. 50 gr. 10 egz. . . . 4.50
Żetony — dwukolorowe na kwestę publiczną 1 egz. 4 gr, 50 egz. . . . 1 80
zwykłe, jednokolorowe 100 sztuk 0 30

S. A. „OSTOJA“

Poznań, ul. Pocztowa 15

SMP zamawiają te wydawnictwa w swoich Związkach.

WARUNKI PRENUMERATY

Abonament kwartalny
wynosi
w kraju
4,75 zł,
zagranicą
w Europie 3,75 fr. szw.,
w Ameryce 75 cent.
Opłatę można najwygodniej i bez kosztów uiścić zapomocą wpłaty na nasze konto w P. K. O. Poznań 202932.

Adres Redakcji i Administracji:

Poznań, Podgórna 12 b.
Tel. 1514.
Konto: Pocztowa Kasa Oszczędności Poznań 202932

W Administracji są jeszcze na składzie:

„PRZEWODNIK SPOŁECZNY"
I—IX r.
w cenie: I—V r. po 10,— zł, VI—IX r. po 15,— zł.
Całoroczni abonenci otrzymają 40% opustu.
Na życzenie dostarczamy roczniki oprawne.

Uprasza się p. t. Prenumeratorów donieść nam o każdej zmianie adresu.

Redaktor odpowiedzialny: Ks. Dr. Edward Kozłowski w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu.